

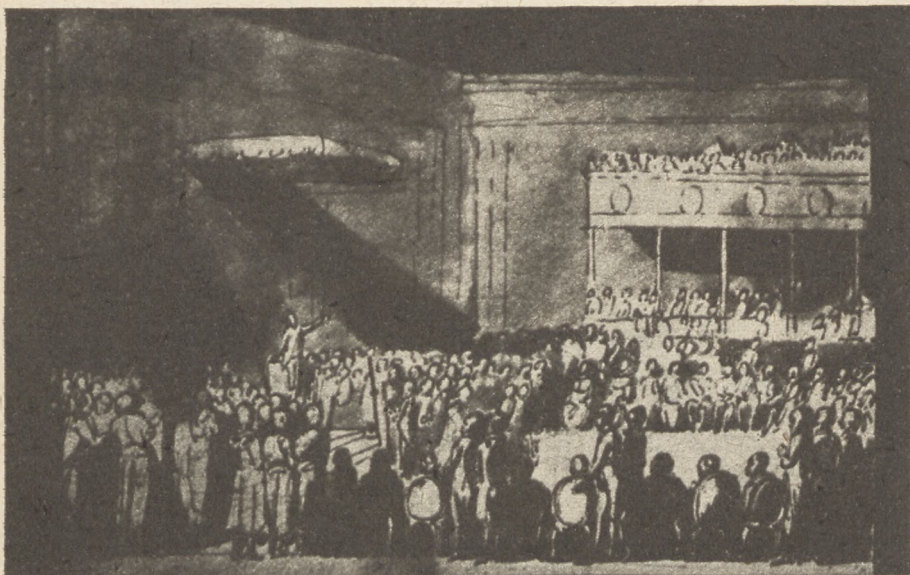


ART. 68 PROJEKTU KONSTYTUCJI POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

POLSKA RZECZYPOSPOLITA LUDOWA OTACZA SZCZEGÓLNIETROSKLIWĄ OPIEKĄ WYCHOWANIE MŁODZIEŻY I ZAPEWNIĄ JEJ
NAJSZERSZE MOŻLIWOŚCI ROZWOJU. (Patrz artykuł na str. 3)

Polska Rzeczpospolita Ludowa jest republiką ludu pracującego.

Polska Rzeczpospolita Ludowa nawiązuje do najszczytniejszych postępowych tradycji Narodu Polskiego i urzeczywistnia idee wyzwolenicze polskich mas pracujących.



3 maja 1791. Uchwalenie Konstytucji, było dziełem najbardziej świątłych i szczerých patriotów owych czasów.



1905. Ramię w ramię z proletariatem rosyjskim walczą robotnicy polscy przeciwko caratowi, o wolność i socjalizm.



24 marca 1794. Tadeusz Kościuszko proklamuje powstanie zbrojne o wyzwolenie Ojczyzny i jej ludu.



1918. Wielki Październik stał się natchnieniem dla polskiej klasy robotniczej, która pod sztandarami KPRP toczyła walkę o obalenie kapitalizmu.



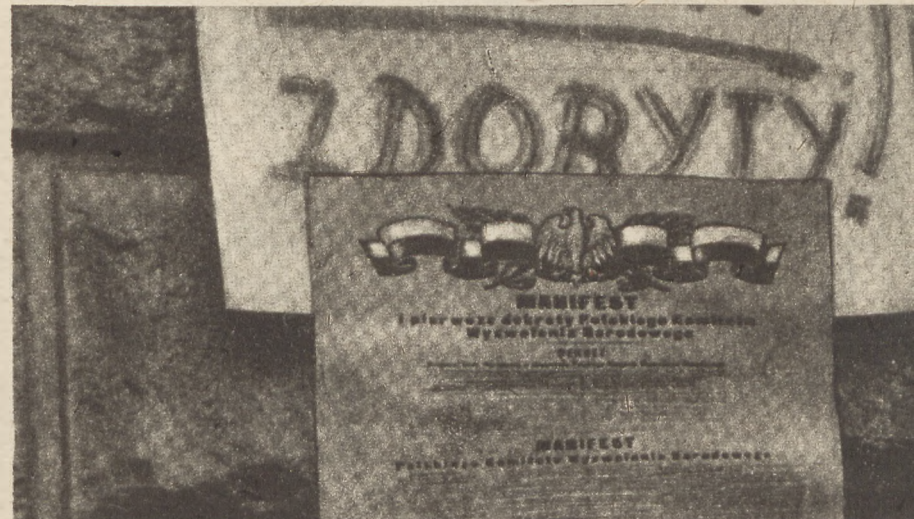
29 listopada 1830. Lud Warszawy szturmem bierze Arsenał, podejmując znowu walkę o wolność



1942. PPR — spadkobierczyni „Proletariatu“, SDKPiL i KPP — podejmuje zbrojną walkę z hitlerowskim okupantem, o wolną i niepodległą Polskę Ludową



1871. „Za waszą wolność i naszą“ walczą na barykadach Komuny Paryskiej Polacy, ginie Jarosław Dąbrowski, bohater Powstania Styczniowego.



22 lipca 1944. Manifest PKWN proklamuje powstanie władzy ludowej w Polsce, której niepodległość przywróciło zwycięstwo Armii Radzieckiej.

KONSTYTUCJA WYZWOLONEGO NARODU

DROGA była długa i trudna. Jak kamienie milowe znaczyły ją daty wielkich bitew o wolność ojczyzny i prawa dla ludu, wielkich bojów „Za wolność i lud”. Droga była długa i krwawa. Przemierzyły ją całe pokolenia polskich powstańców i rewolucjonistów. Z ich trudu, męki, ofiary i znoju narodziła się Polska Ludowa. Jej powstanie proklamował przed siedmiu i pół laty Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. W tym dniu, 22 lipca 1944 roku, władzę w Polsce ujął lud pracujący, pod przewodnictwem klasy robotniczej.

Od tego dnia miliony Polaków budują potęgę swej ludowej Ojczyzny, wykuwają tę potęgę w calinie węglowej, odlewają z żelaza i stali, umacniają murami kolosów przemysłowych, miast i osiedli. Siedem lat mozolnej i ofiarnej pracy polskiego robotnika, chłopu i inteligenta, stworzyło dzisiejszą rzeczywistość Polski.

Nadszedł czas, by tę rzeczywistość zawrzeć w ustawie zasadniczej państwa, w Konstytucji, która wedle słów Prezydenta Bieruta ma być „*ujęta w formę powszechnego prawa Wielką Kartą zwycięskich osiągnięć i utrwalonych na zawsze zdobyczy społecznych polskiego ludu pracującego, który stał się rzeczywistym gospodarzem swego kraju, jedynym i wolnym twórcą losów narodu, gwarantem jego rosnącej siły, niezawodną ostoją jego wielkiej przyszłości*”.

Pierwszy artykuł projektu Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej głosi:

„Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem demokracji ludowej.

„W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi”.

Lud ten zatem — twórca historycznego zwycięstwa nad siłami przemocy i ucisku — powołany jest, aby być tej Wielkiej Karty współautorem. I dlatego projekt Konstytucji, opracowany przez Komisję Konstytucyjną, przechodzi dziś w ręce całego narodu. Na tym najszerszym i najbardziej uprawnionym forum potoczy się wielka debata. Taki jest bieg prac konstytucyjnych w ustroju wolności i demokracji ludowej. Taka jest nasza procedura uchwalania ustawy zasadniczej państwa.

Procedura tak różna od tej, która obowiązywała w dawnej przedwrześniowej Polsce, jak tamta, przedwrześniowa Polska różni się od naszej. Rzućmy okiem w tę niedawną przeszłość, a jakże już odległą przeszłość. Przypomnijmy, jak uchwalało się konstytucje w tamtych czasach.

Miała ich Polska międzywojenna dwie: marcową i kwietniową. Pierwsza

uchwalona została w r. 1921 przez Sejm, w którym decydowali przedstawiciele ziemiaństwa i kapitału. Mocodawcami ich byli obszarnicy i kapitaliści krajowi i zagraniczni. Konstytucja była wiernym odbiciem ich interesów. Miała zabezpieczyć ich prawa i przywileje. Miała utrwalić ich władzę i panowanie. Miała ich uzbroić

w skuteczny oręż walki przeciwko tym, którzy śmieliby podnieść dłoń na przywileje możnych, którzy śmieliby domagać się ludzkich praw dla siebie — przeciwko uciskanym i wyzyskiwanym.

Posłowie tamtego Sejmu też zasięgali opinii w sprawach konstytucyjnych. Też radzili się swych moco-

dawców i wspólnie z nimi debatowali. Tylko że ich mocodawcami byli wielcy obszarnicy, przemysłowcy i bankierzy. Więc sprawę załatwiano w wąskim lecz dobranym gronie.

Ale czasy nie sprzyjały zbyt jawnemu nazywaniu rzeczy po imieniu. Świat rozbrzmiewał echemi Rewolucji, burzyły się masy, szeroko i wysoko podnosiła się fala strajków. Więc przyozdobiono konstytucję marcową w girlandy demokratycznych frazesów. Szaflowano nimi nawet wcale hojnie. Pod błyszczącą fasadą łatwiej było ukryć złowrogą treść klasowego panowania burżuazji i obszarnictwa. Dźwięczne frazesy wolnościowe konstytucji marcowej pozostały tam, gdzie umieściła je perfidia autorów: na papierze.

Druga konstytucja Polski międzywojennej wprowadzona została w roku 1935. Tej już nawet nikt nie „uchwalał”. Wszak był to dziesiąty rok niczym nieosłoniętej, brutalnej dyktatury sanacyjnej soldateski. Ordynarnym, złodziejskim chwytem przemyciono tę faszystowską konstytucję przez Sejm. Nie liczono się nawet z pozorami legalizmu własnej procedury. Konstytucję po prostu narzucono krajowi. Wielcy panowie z „Lewiatana” i z „Klubu Myśliwskiego” nie mieli nawet po co debatować. Akceptowali w pełni. Odpowiadało im to w zupełności.

Taka była „procedura” konstytucyjna w Polsce międzywojennej.

Rozsypała się ta Polska w proch i pył. Legło w gruzach panowanie władców kapitału i obszarników, wyzyskiwaczy rodzimych i zagranicznych.

W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu. Od siedmiu i pół roku lud polski władzę tę sprawuje faktycznie i niepodzielnie. On jest jedynym i wyłącznym mocodawcą swych przedstawicieli zasiadających w Sejmie Ustawodawczym i w Komisji Konstytucyjnej. Ludu polskiego pełnomocnikami byli autorzy projektu Konstytucji.

Dziś, gdy dzieło swe ukończyli, gdy projekt sformułowali — zwracają się do swych mocodawców, do właściwych gospodarzy kraju, by wyrzekli swe zdanie, by wydali swój osąd.

I oto otwarta jest wielka debata narodowa, wielka dyskusja nad projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Trzeba, by wziął w niej udział każdy robotnik, chłop i inteligent. Każdy spośród tych, co swym wysiłkiem i trudem tworzą polską rzeczywistość. Tę rzeczywistość, którą zapisuje Konstytucja.

Wielka debata rozpoczęła się. Biorą w niej udział miliony Polaków. Tak rodzi się nasza Konstytucja — konstytucja wyzwolonego narodu.



Nowa Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stanowić będzie dla narodu Wielką Kartę zwycięstwa w tej walce o wyzwolenie narodowe i społeczne, o zrzucenie kajdan obcej niewoli, o zrzucenie kajdan kapitalizmu, o sprawiedliwość społeczną, o socjalizm.

BOLESŁAW BIERUT

Z UCHWAŁY KOMISJI KONSTYTUCYJNEJ

Projekt Konstytucji, to projekt ustawy zasadniczej naszego państwa demokracji ludowej, państwa, w którym cała władza należy do ludu pracującego miast i wsi. Konstytucja mieć będzie ogromne znaczenie dla dalszego umocnienia i rozwoju osiągnięć narodu polskiego, budującego socjalizm, — dla dalszego zespolenia naszego narodu, — dla utrwalenia niepodległości i suwerenności naszego państwa ludowego i zwiększenia jego wkładu w dzieło utrwalenia pokoju na całym świecie. Projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej niewątpliwie stanie się przedmiotem najżywszego, bezpośredniego zainteresowania najszerszych mas ludowych, które wiedzą, że są gospodarzami w swoim kraju, — że to one kształtują oblicze swojego państwa, — że na nich spoczywa odpowiedzialność za dalszy rozwój narodu, za ustanowienie form państwowych oraz praw i obowiązków obywatelskich najlepiej zabezpieczających wolność, siłę i rozkwit Ojczyzny.

Komisja Konstytucyjna wzywa do najszerszego udziału w dyskusji nad projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i zwraca się do obywateli o zgłaszanie wniosków, poprawek i uwag do tego projektu.

RADZIECCY zwiadowcy znaleźli w roku 1942 u wziętego do niewoli oficera hitlerowskiego mapę sztabową z planem kampanii na froncie wschodnim. Na mapie widniały daty: 28 lipca — Stalingrad, 10 sierpnia — Saratów, 15 sierpnia — Kujbyszew, listopad — zajęcie Moskwy od wschodu.

Rzeczywistość obaliła awanturniczy plan hitlerowców. 25 lipca trwała bitwa o 120 kilometrów od Stalingradu, w sierpniu sztab niemiecki przekonał się o niemożliwości zdobycia miasta szturmem, we wrześniu walki toczyły się o każdą ulicę i każdy dom, w październiku cały świat dowiedział się o zdumiewającym bohaterstwie obrońców Stalingradu.

A w listopadzie... W myśl Stalinowskiego planu strategicznego 19 listopada o 7.30 rozpoczęła się kontrofensywa Armii Radzieckiej. W 104 godziny później znakomita 330-tysięczna armia hitlerowska została zamknięta w kotle, z którego nikt nie wyszedł.

10 stycznia 1943 roku wojska radzieckie przystąpiły do likwidacji otoczonej grupy. 1 lutego złożył broń sztab feldmarszałka Paulusa, następnego dnia poddały się ostatnie niemieckie oddziały. Najlepsza hitlerowska armia przestała istnieć.

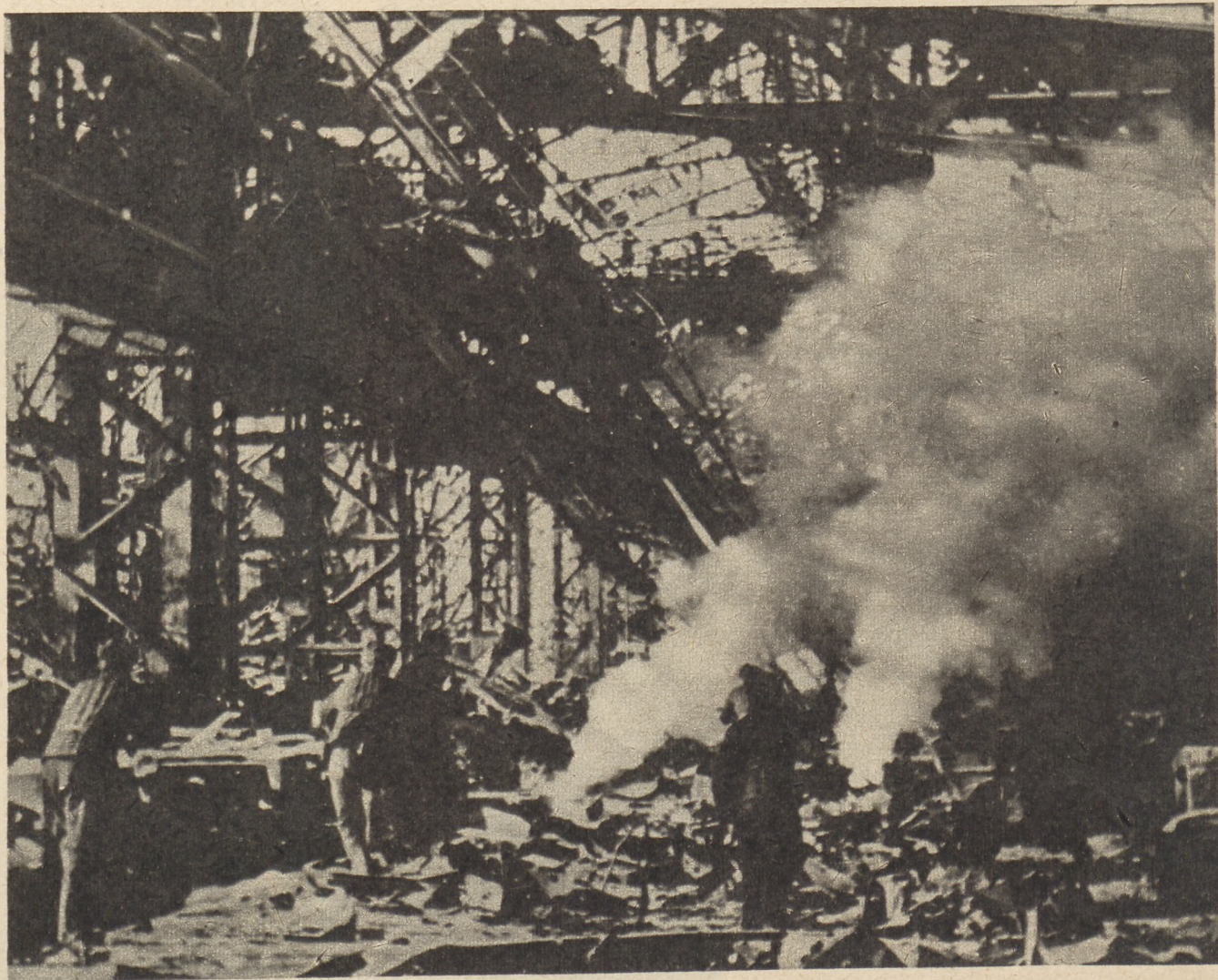
Miasto, noszące imię Stalina, weszło na zawsze do historii ludzkości. Słowo „Stalingrad“ podniosło na nogi ujarzmioną Europę, stało się symbolem zwycięstwa nad faszyzmem.

Minęło dziewięć lat. Stalingrad, potwornie zniszczony przez hitlerowców, odżył, odbudował się. Wkrótce już tylko wieżyczki czołgów na kamiennych postumentach znaczyć będą przechodzącą niegdyś przez serce miasta linię frontu. Pod Stalingradem rośnie budowla komunizmu — gigantyczna elektrownia... Bohaterowie 62 i 64 armii, żołnierze, którzy zwyciężali pod dowództwem marszałka Rokossowskiego — wznoszą dziś nowe domy i fabryki, ujarzmiają przyrodę. Ludzie radzieccy budują pokój.

Ale imperialiści zapominają lekcje historii. Marzą o nowych wyprawach przeciw Związkowi Rad, usiłują z hitlerowskich niedobitków stworzyć nową armię agresji, kreślą nowe daty na sztabowych mapach. Tym amatorom wojny data 2 lutego przypomni słowo, brzmiące jak groźne ostrzeżenie. Słowo: Stalingrad.

STALINGRAD

MIASTO ZWYCIĘSKIE



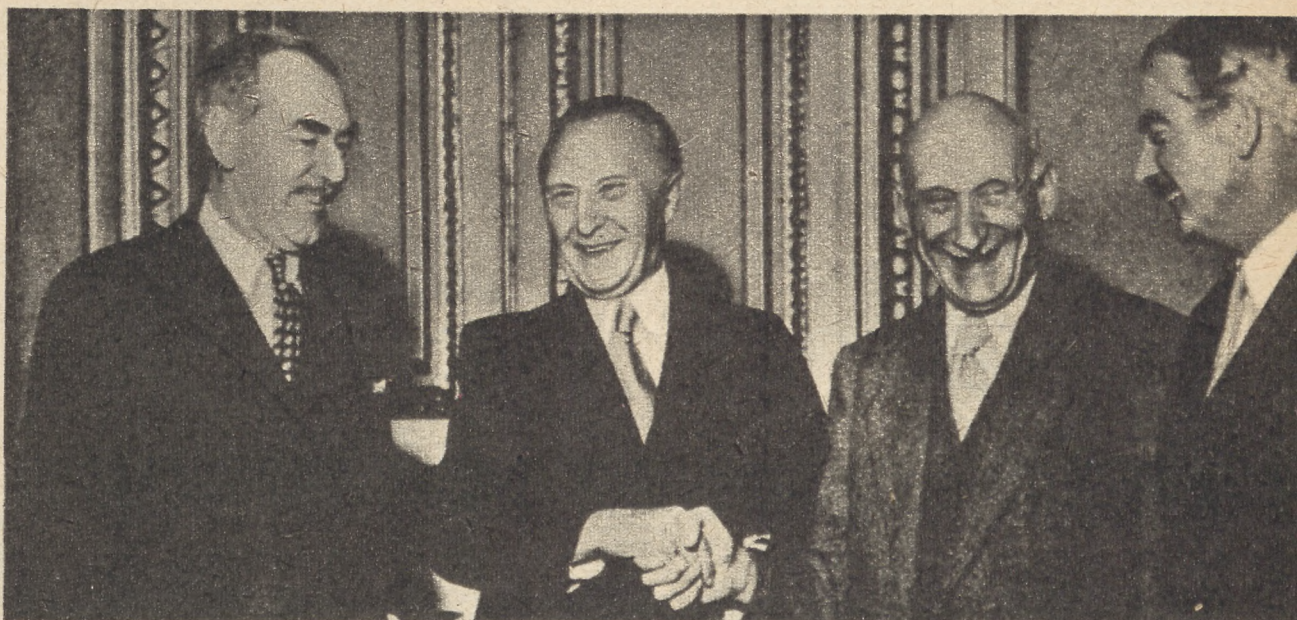
Jesień 1942 roku. W ruinach wielkiej fabryki „Czerwony Październik“ toczą się od trzech tygodni zaciekle walki. Każdy uzyskany metr w Stalingradzie okupują hitlerowcy setkami zabitych i rannych.



Tak wygląda dziś jedna z odbudowanych ulic bohaterskiego Stalingradu. Ulica, na której 9 lat temu mężni obrońcy miasta walczyli o wolność i pokój dla świata, nosi dziś wymowną nazwę: ulica Pokoju...



Nowy „Wehrmacht” ma dostać maski produkowane w fabryce będącej własnością tego banku amerykańskiego. Jego filia mieści się w Sztutgarcie.

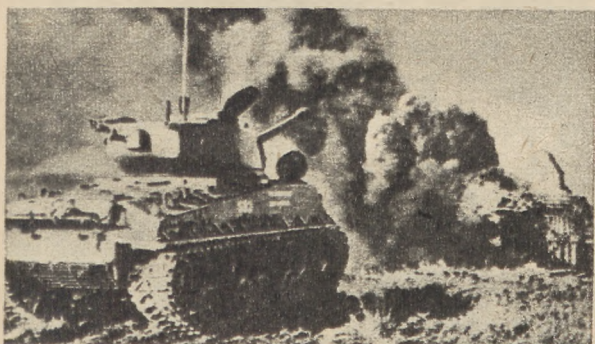


Spotkali się w Paryżu w tym samym czasie, gdy rozpoczęła się sesja ONZ. Acheson (pierwszy z lewej) usiłował okłamać narady „pokojuowymi” pro-

pozycjami. Sekundował mu Eden i Schuman (od prawej). Ale w rozmowach z Adenauerem (drugi z lewej) mówili swoim językiem — językiem wojny.



Oto pierwsze maski gazowe nowej produkcji. Prawda jakie twarzowe? Świeżo zwербowany żołdak przyjmuje z uwagą nauki doświadczanego esesowca.



Nie, to tylko manewry wojsk okupacyjnych. Ale ich ofiarą padają liczne miasteczka i wioski Trizonii. Tzw. „policja przemysłowa”, przypominająca do złudzenia SS-manów, pilnuje, by antyfaszyści nie zakłócili amerykańsko-hitlerowskiego porządku.



Harry Truman jest, jak widać, bardzo zadowolony. Wiadomości, które nadchodzą z Niemiec zachodnich, świadczą, że hitlerowscy pupilkowie amerykańskich bankierów, rażno wzięli się do roboty.



ŻOŁDACY BANKIERÓW

EDMUND OŚMAŃCZYK

W ROKU 1933 reporter sanacyjny „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, Konrad Wrzos, pisał:

„Na jednej z bardziej ruchliwych ulic katowickich, na ul. Marszałka Piłsudskiego, stoi ciężki, szary, piętrowy gmach na którego froncie widnieje napis: „Deutsche Bank”. Przed gmachem tym stoi polski policjant, który czuwa nad porządkiem i reguluje ruch. Policjant ten byłby pierwszy, który podniósłby do ust gwizdek lub sięgnął po broń, gdyby bankowi niemieckiemu grozić kiedyś miało niebezpieczeństwo. „Deutsche Bank” jest bankierem przemysłu górnośląskiego...”

Konrad Wrzos nie wspominał, że „Deutsche Bank” jest również bankierem przemysłu zbrojeniowego Zagłębia Ruhry i wraz z dwoma innymi bankami niemieckimi finansował partię Hitlera, który właśnie w r. 1933 doszedł do władzy. Dodajmy jednak pewien szczegół, który posiada dziś specjalną wymowę, mianowicie, że w Radzie Nadzorczej berlińskiej centrali „Deutsche Bank” zasiadał ówczesny Prezydent Pruskiej Rady Państwa, nazwiskiem Adenauer...

Od owego czasu minęło lat blisko dwadzieścia. Pan Adenauer nie urzęduje już w Berlinie, lecz w Bonn nad Renem i wpływy jego sięgają zaledwie do Łaby. Między Łabą a Odrą wyrosła, przeciw bankierom i przemysłowcom znad Renu, Niemiecka Republika Demokratyczna, a na wschód od Odry rozciąga się kraj, w którym władzę sprawuje lud. z odrazą wspominający czasy, gdy polski policjant czuwał nad bezpieczeństwem banku niemieckich imperialistów, rządzących polskim przemysłem. Krew, która gniewnie uderza do głowy, gdy czytamy dziś suchy reportaż Wrzosa, wyostreza jednocześnie czujność i zmusza do mobilizacji wszystkich sił umysłowych i fizycznych, aby czas nam dany stał się czasem ostatecznego zwycięstwa nad kapitalistyczną zmorą ludów.

O co chodzi? Wclaz, niezmiennie o to samo: o sparaliżowanie imperializmu niemieckiego, który choć pod ciosami radzieckiej armii wycofać się musiał znad Niemna i Wisły, znad Warty i Odry, znad Wławy i Łaby, ale wskrzeszony przez swojego tradycyjnego sojusznika — imperializm amerykański, znów szczyrzy znad Renu kły i grozi pokojowi Europy.

Wiemy, że z pomocą amerykańskich wojsk okupacyjnych w Niemczech zachodnich, reprezentant wielkiego kapitału niemieckiego, Herr Adenauer, ten sam, którego bank strzeżony był kiedyś w Polsce przez sanacyjnych policjantów, narzuca w r. 1952

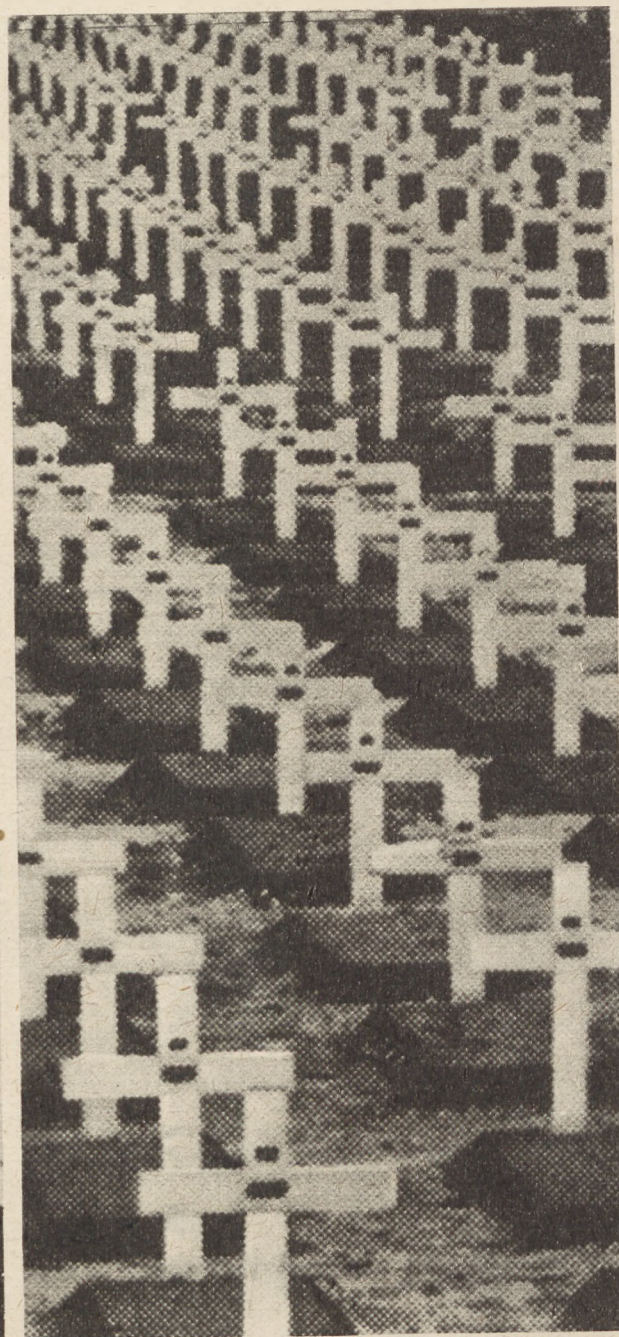
Dokończenie na str. 7



1.250.000 takich „ruchów”, dowodzonych przez 1.300 hitlerowskich generatów ma objąć pobór do „Wehrmachtu”. 12 dywizji to na razie pierwszy rzut.



CI AMERYKAŃSCY ŻOŁDACY, KTÓRZY BANDYCKIE DOŚWIADCZENIA ZDOBYLI W KOREI, MAJĄ W TRIZONII „SPECJALNE UPRAWNIENIA“.



Naród niemiecki dobrze pamięta zarówno jeden jak i drugi obrazek. Tak szły na podbój świata kohorty Hitlera, świetnie wyposażone i umundurowane, a tak zakończyły się dla wielu milionów sny o potęgze.



Pełnomocnik amerykańskich i niemieckich bankierów, Adenauer, uosobia sens bajki o wilku i owcy.



Na wielkim wiecu w Berlinie premier NRD, Grotewohl, przedstawia program walki przeciwko remilitaryzacji Trizonii, o pokojowe, zjednoczone Niemcy.

Dokończenie ze str. 5

narodowi niemieckiemu między Łabą a Renem ustawę o powszechnej służbie wojskowej, ustawę o odbudowie niemieckich fabryk zbrojeniowych Kruppa, Thyssena, Klöcknara, ustawę o zakazie działalności organizacji demokratycznych w Trizonii. Znow ulicami miast niemieckich maszerują hitlerowscy generałowie. Znow nad miastami zachodnich Niemiec ćwiczą się hitlerowscy lotnicy do lotów z bombami na wschód. Znow w nocnych godzinach w robotniczych dzielnicach Hamburga, czy Bremy, Essen, czy Dortmundu, jeżdżą zielone budy a policja ministra Lehra, złożona z gestapowców Hitlera, aresztuje, bije i wtrąca do więzień. Tak zaczynało się przeszkolenie późniejszych zbrodniarzy Oświęcimia, czy Majdanek, w r. 1933. Najpierw na niemieckich robotnikach „uczono się”, jak się ujarzmia narody. Potem dopiero przyszła kolej na Polaków i Belgów, Holendrów i Francuzów, Jugosłowian i Norwegów, w końcu nastąpił najazd na Związek Radziecki. Teraz od nowa zaczyna się bankierska gra o nową wielką wojnę, która ma dać znow przez potworne zbrodnie, miliardowe zyski jaśniepanom USA i Anglii, Francji i Niemiec. Teraz do tradycji hitlerowskich, imperializmu niemieckiego włącza tradycje swych nowych sojuszników: Trumana i Dullesa, Mac Arthura i Eisenhowera, Li Syn-mana i Czang Kai-szeka, Mocha i Scelby, Franco i Tito.

Banki amerykańskie finansują nowy Wehrmacht. W koszarach pod Sztutgartem instruktorzy amerykańscy ćwiczą żołdaków Adenauera w stosowaniu masek gazowych, których fabryka jest własnością amerykańskiego banku National Chase Bank. Filia tego banku na Niemcy mieści się w Sztutgarcie, a adenauerowski policjant przechadza się przed gmachem, jak ongi granatowy policjant przed „Deutsche Bank” w Katowicach. W kapitalistycznym świecie nic się nie zmieniło, w formach ujarzmiania słabszych przez silniejszych, od lat dwudziestu.

Zmieniło się jednak wiele w kapitalistycznym świecie: zaktywizowały się już w wielkim stopniu masy pracujące. Walka o pokój, która się toczy dziś w krajach „atlantyckiego” świata przybiera co dzień na sile, mimo wszystkie środki nacisku, ucisku i terroru, jakimi rozporządza jeszcze aparat bankierskich rządów.

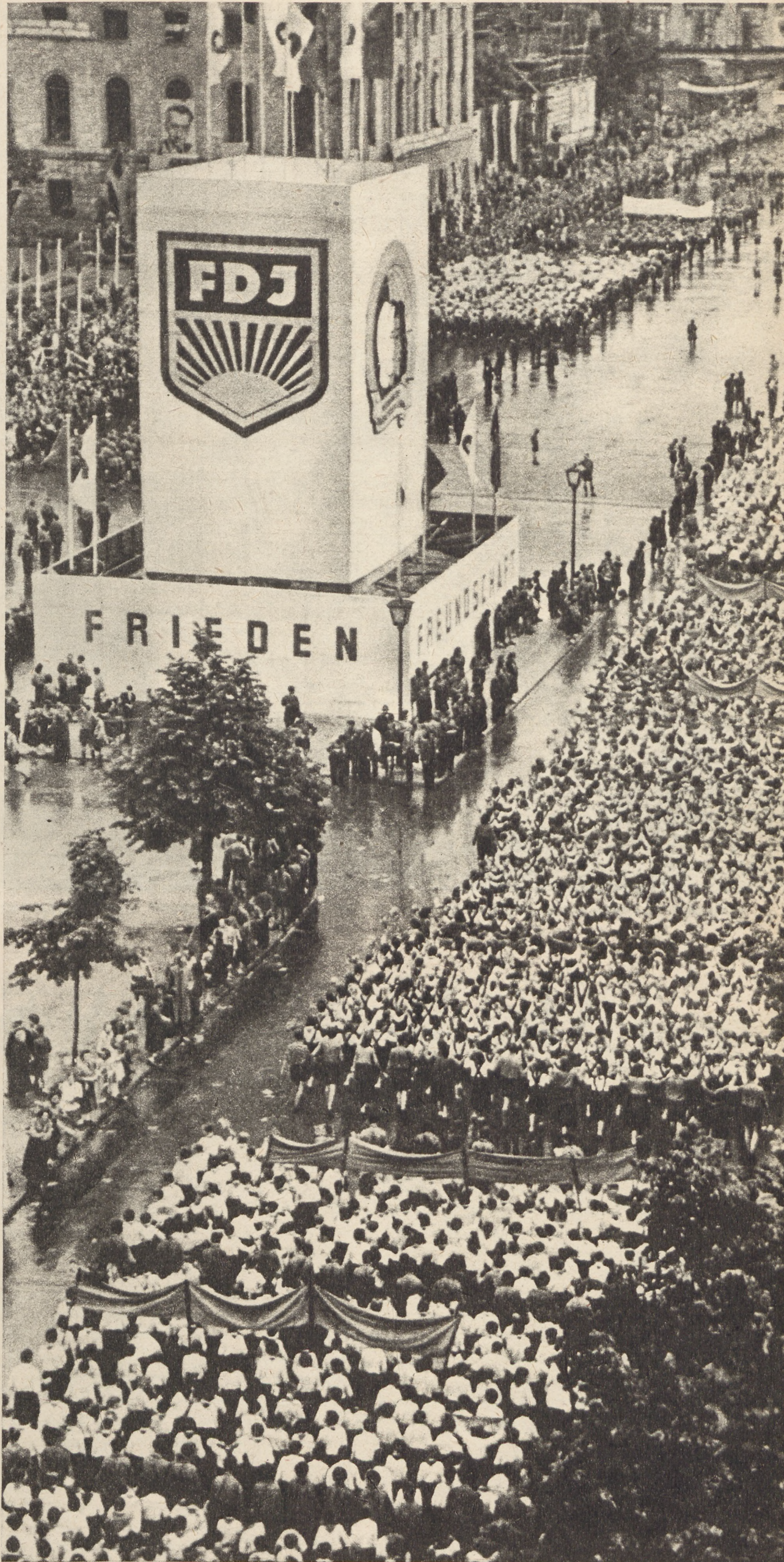
Dla ludzi walczących dziś w Niemczech zachodnich, we Francji czy we Włoszech przeciw remilitaryzacji Trizonii, przeciw amerykańskiej okupacji, ich krajów, my jesteśmy nadzieją wyzwolenia i zwycięstwa. My — to znaczy wszyscy ludzie od Łaby po Morze Chińskie, którzy budujemy wzorem Kraju Rad świat sprawiedliwości społecznej i pokoju. Od naszego wysiłku gospodarczego, politycznego i kulturalnego zależy przyszłość każdego z nas i każdego na świecie człowieka. To brzmi bardzo dumnie. Ale też nigdy ciężar odpowiedzialności indywidualnej i społecznej nie był tak wielki, jak w pierwszych latach drugiej połowy XX wieku.

Ze strony zbrodniarzy bankierów hitlerowsko-trumanowskiego „Wehrmachtu” grozi ludom Europy zagłada. Ze strony naszej idzie dla ludów Europy ratunek. Myślą o tym i mówią głośno co dzień setki milionów ludzi miłujących pokój i walczących z tyranią wojennych monopolii.

Walczącym po tamtej stronie dać musimy równą ich walce pracę. Pracę myśli i mięśni w najwyższym natężeniu. Stawką, o której zdecyduje ich walka i nasza praca, jest los każdego z nas, każdego w świecie człowieka.

Czytając w codziennej prasie wieści o atlantyckich zbrojeniach, o tworzeniu dywizji żołdaków Adenauera, pamiętajmy o minionych latach dwudziestu i nie zapominajmy ani na chwilę, że z wysiłku każdego z nas rośnie nadzieja świata na zwycięstwo nasze.

EDMUND OSMANČYK



W pierwszych szeregach niemieckich bojowników o pokój kroczy młodzież. Pokój i przyjaźń między narodami — oto hasło, pod którym pod przewodem klasy robotniczej i jej partii, jednoczą się miliony Niemców.



Z CHAOSU KONSTRUKCJI STAŁOWYCH ZACZNĄ SIĘ WKRÓTCE WYŁANIAĆ ZARYSY URZĄDZEŃ POMOCNICZYCH NOWEGO WIELKIEGO PIECA.

TAK WYTAPIA SIĘ STAL

EDWARD KARŁOWICZ — Zdjęcia: WŁ. SŁAWNY

KWADRATOWY otwór pieca błyszczy, niby oko mitycznego cyklopa. O pięć kroków od pieca gorąco jest już nie do zniesienia. Oczywiście tylko dla nieprzyzwyczajonych, bo mistrz stalowni, Zygmunt Krawczyk stoi właśnie w odległości metra od pieca i pilnie patrzy przez niebieskie szkła w zionący białym żarem otwór. Po chwili każe podręcznym podrzucić jeszcze kilka łopat topników.

— To tak samo, jak z chlebem — mówi z uśmiechem. — Nie można wypuścić z pieca stali z „zakal-cem“...

Jesteśmy w nowej stalowni huty „Częstochowa“. W tej samej, o której tak głośno było w roku ubiegłym. Dziś nowe piece dają co parę godzin wielotonoową porcję stali dla codziennych potrzeb naszego budownictwa.

JUŻ PŁYNIE!

Na znak dany przez Krawczyka młoda dziewczyna w kombinezonie naciska dźwignię i szamotowa ścianka pieca unosi się do góry. Zar roztopionej stali jest tak silny, że musimy cofnąć się o kilka kroków. Przez niebieskie szkła widać, jak we wnętrzu pieca gotuje się stal. Na kipiącej powierzchni pojawiają się i znikają wydłużone języczki płomieni.

Krawczyk uważnie wpatruje się w roztopiony metal i wyjaśnia:

— Powierzchnia stali wygląda rozmaicie: czasem pokrywa ją szlaka, czasem kipi jak mleko... stal jest dobrze wytopiona, kiedy powierzchnia pokrywa się drobnymi bąbelkami, tak, jakby deszcz padał na stawie. Po tym się poznaje, czy ją można spuszczać... Ale nie można polegać tylko na tym.

Pierwszy wytapiacz, Bolesław Lech, bierze z pieca próbę. Długą, przeszło trzymetrową łyżkę zanurza w rozżarzonym wnętrzu i zaczerpnięty metal wlewa do podstawionej foremki. Z próbki syple się deszcz iskier. Gdy ostygnie — powędruje do laboratorium, gdzie oceniają jakość wytopu. Po chwili — następna próba. Tym razem jednak Lech wylewa płynny metal wprost na płytę podłogi. Po zachowaniu się rozlanej stali, wprawni wytapiacze poznają czy jest gotowa.

Jeszcze jedna próba, jeszcze jedna. Wreszcie — decyzja: stal można spuścić.

Przechodzimy na drugą stronę pieców martenowskich — do hali lejniczej. Panuje tu już ruch: potężne suwnice podwożą pod wylot spustowy pieca potężną kadełkę. W dołach ustawia się dziesiątki wlew-

nic, w których zastygać będzie roztopiony metal. Wy-soko w górze, na galeryjce, krzątają się u wylotu pieca ludzie. Drobni, ledwie widoczni wśród ogromu potężnych urządzeń.

Już płynie! Ognisty strumień, rzucając snopy iskier, spływa do kadzi. W hali robi się jasno. Dziesiątki par oczu wpatrują się w równy, błyszczący potok. Nie można jednak czekać: pod sklepieniem hali jedzie już suwnica, która podstawia za parę chwil drugą, mniejszą kadełkę. Do tej spłynie z pieca równie gorąca, ale lżejsza znacznie szlaka — produkt odpadowy przy wytopie.

POJEDZIE DO FABRYK

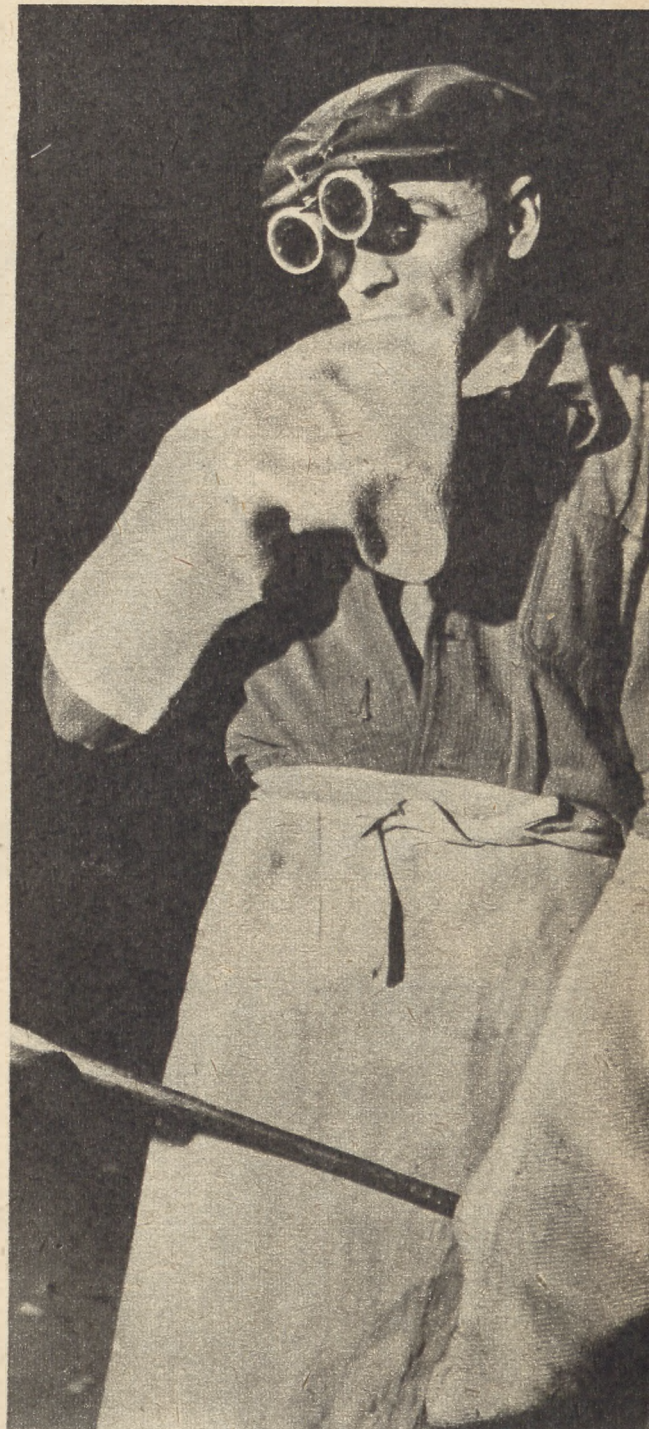
Spust zakończony. Kadełka wypełniona płynną stalą przesuwa się majestatycznie w powietrzu i zatrzymuje się nad wlewnicami. Przodownik hali lejniczej, Jan Żyłka, kieruje ruchami suwnicowego: kadełkę musi się ustawić z dokładnością do centymetra, inaczej, — metal popłynie nie do wlewnic, zmarnują się setki kilogramów stali.

Zwolna napełniają się wlewnice, połączone ze sobą szamotowymi kanalikami. Napełnia się ich równocześnie osiem, albo dwanaście albo i dwadzieścia



Roztopiona stal, rzucając snopy iskier, spływa pod czujnym okiem Jana Żyłki do podstawionych wlew-

nic. Gdy będą pełne — nakryje się je płytkami ogniotrwałymi i przysypie ziemią — stal będzie stygnąć



Pierwszy wytapiacz, Lech, spogląda w czeluść pieca martenowskiego. Czy wszystko w porządku?

cztery. Stanisław Celebiarz naciska dźwignię przy kadzi — reguluje strumień ognistego metalu. U wylocie wlewnic pojawiają się najpierw pojedyncze iskiereki, potem jest ich więcej, wreszcie biją z wlewnic całe snopy iskier: są już pełne.

— No, nienajgorzej już wyszło — mruczy Żyłka i wymienia imponującą cyfrę ton wytopionej stali.

W zasypanych ziemią zlewnicach stygną bloki stali. W głębi hali, z drugiej strony bocznic kolejowej, czekają już gotowe stalowe wlewki, ułożone w równe sterty. Jutro dźwigi załadują je do wagonów towarowych — i częstochowska stal pojedzie do fabryk i hut.

Inna część stalowych bloków nie od razu opuści hutę „Częstochowa”. Przejdzie jeszcze przez miejscową walcownię i wyjedzie w świat w postaci stali profilowej i walcówki.

HUTA ROŚNIE

Dotąd mowa była tylko o stali wyprodukowanej w hucie „Częstochowa”, o stali, która z tej huty wychodzi. Teraz będziemy mówić o stali, którą codziennie pociągi towarowe przywożą na teren huty.

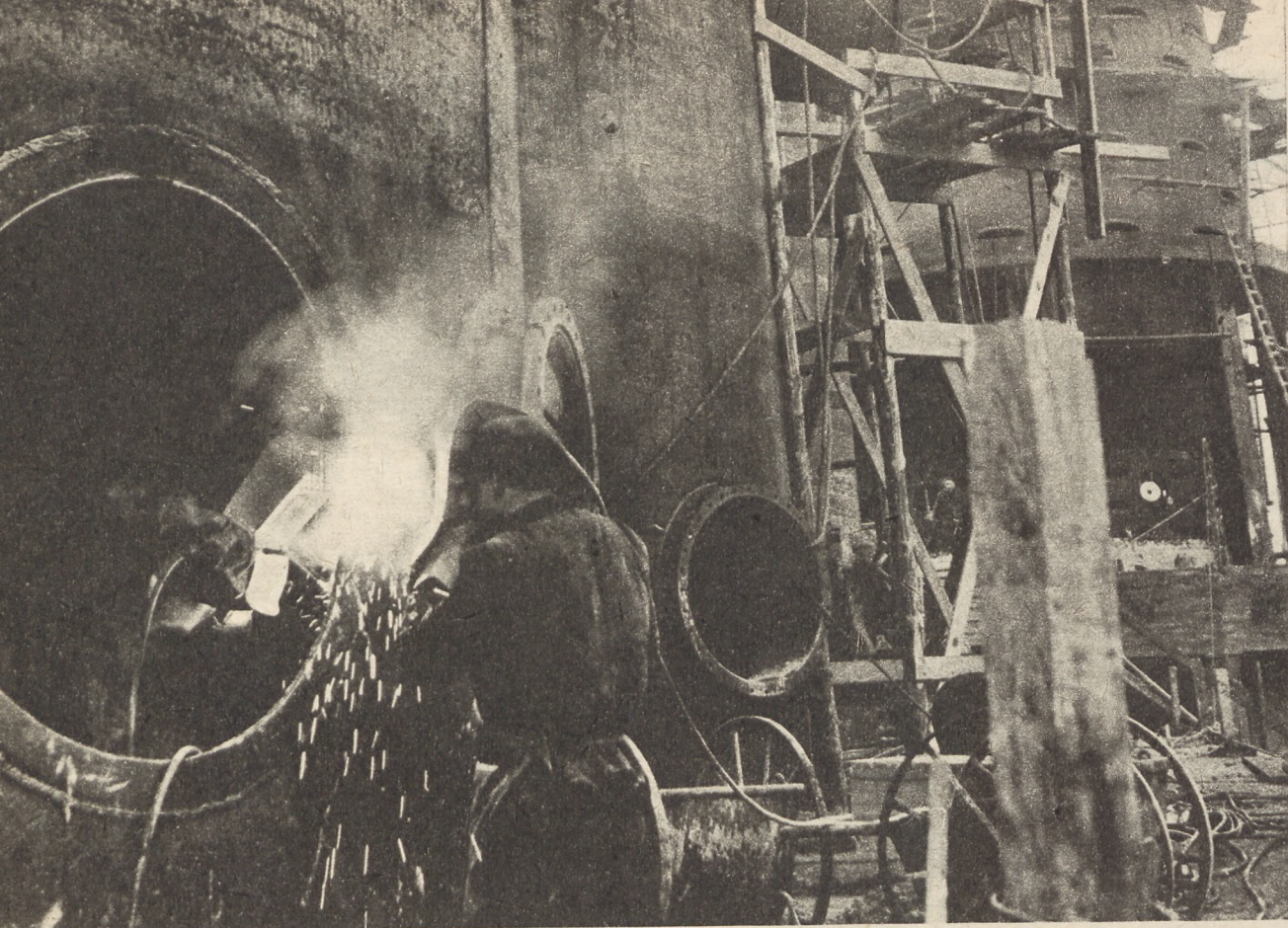
W tym celu opuścimy nową stalownię, w której przed chwilą byliśmy świadkami spustu stali. Wychodzimy przez prowizoryczne wyjście — i widzimy, że ściany hali ciągną się dalej. Nad głowami błyskają błękitnawe ogniki — spawacze pracują przy metalowych konstrukcjach stropów. Tak, to będzie dalszy ciąg nowej stalowni, której jedna część już pro-

Dokończenie na str. 10

Blok metalowy przy każdym przejściu przez walce staje się coraz dłuższy i cieńszy. Jeszcze kilka

przerzutów — i zamieni się w pręt o pożądanym profilu. Po ostygnięciu powędruje koleją do fabryk.

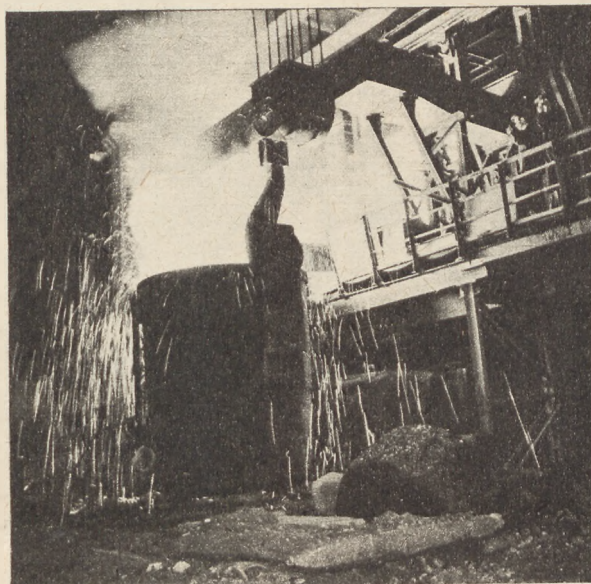




SPAWACZE KĘDZIERSKI I KUDŁEK WYKOŃCZAJĄ METALOWE PŁASZCZE NAGRZEWNIC PIECA.



Nie wolno za blisko podchodzić, bo gorąco! Haki zaczepiły rozgrzany do białości blok stalowy i za chwilę specjalne urządzenie wyciągnie go z pieca i przerzuci na walce — dla dalszej obróbki.



Wytop zakończony. Stutonowa blisko porcja roztopionej stali sphywa powoli do kadzi. Na prawo, na galeryjce, stoją mistrzowie Krawczyk i Pomykała. Jak drobną są w porównaniu ze swym dziełem!

Wytapiacz Bolesław Lech pobrał właśnie z pieca próbkę stali. Mistrz Zygmunt Krawczyk (czwarty

od lewej) przygląda się pilnie rozlanej próbce. Za chwilę można będzie spuszczać gotową stal...



dukuje, a druga dopiero rośnie. Z wagonów — tych samych, które za chwilę przyjmą ładunek stalowych bloków — dźwigi zdejmują elementy stalowych konstrukcji. Wokoło — łośkot betoniarek, miarowy syk aparatów spawalniczych, warkot motorów dźwigów.

Przejdźmy teraz nieco dalej. Od czerni „starej” huty odcina się żywym odcieniem świeżej cegły i błyszczących szyb, kompleks hal nowej walcowni rur. Wewnątrz specjaliści montują ostatnie urządzenia i maszyny. Walcownia ta, jedna z najnowocześniejszych na świecie, będzie chlubą całego naszego hutnictwa. I jest już niemal zupełnie gotowa.

Widzimy więc, ile stali jeszcze pochłania „Częstochowa”. Ale to przecież zaledwie część. Resztę zobaczymy o kilka kilometrów dalej, już za miastem, tam, gdzie rozbudowa częstochowskiej huty przybrała rozmach największy.

GIGANT NA PUSTKOWIU

Trafić tam nie trudno. Prowadzą w to miejsce nowe bocznice kolejowe i drogi, wyjeżdżone przez setki ciężarówek. Z daleka zresztą widać wznoszące się ku niebu fragmenty budowy.

Rosnąca huta nie zmieściła się na swym dawnym, dość nawet obszernym terenie. Częstochowski gigant — nowy wielki piec i szereg urządzeń pomocniczych — powstaje dalej, na podmiejskim pustkowiu.

— Jeszcze rok temu hasały tu zające — mówi jeden z zatrudnionych przy budowie techników. Powiedzenie to, które stało się niemal przysłowiem, oddaje nieźle tempo wielkiego budownictwa.

Rok temu była tu tylko rozległa, piaszczysta równina. Całkiem prawdopodobne, że i zaglądały tu zające. Teraz żółta powierzchnię przemierzanych z gliną piasków pocięły tory kolejowe i czarne smugi nawierzchni żuźlowych. A w środku — rosną obok siebie olbrzymy: wielki piec, nagrzewnica powietrza do pieca, ogromna siłownia, budynki pomocnicze.

Obok torów stoją potężne dźwigi. Wysokie cyfry nośności i tabliczki „Sdziełano w 1950 roku” świadczą, że huta korzysta z najnowocześniejszego sprzętu radzieckiego.

Dźwigi wyładowują już od wielu dni stalowe konstrukcje dla pieca i innych urządzeń. Możliwe, że wykonane z częstochowskiej stali, z tych bloków, które od kilku miesięcy opuszczają nową stalownię...

STARE I NOWE

Z nowych oddziałów częstochowskiej huty pracuje na razie tylko stalownia, a raczej jej część. Za rok czy dwa, produkcja starych oddziałów będzie zaledwie częścią ogólnej produkcji huty.

Na przedmieściu Częstochowy o wymownej nazwie „Ostatni Grosz” zachowały się jeszcze ponure, koszarowe, ciasne domy i chylące się ku ziemi rudery. Ale obok huty jaśnieją już jasne, przestronne bloki nowego osiedla, a nieco dalej, patrząc na fundamenty i rusztowania można policzyć, ile takich bloków otrzymają w najbliższym czasie częstochowscy hutnicy.

Z rozmaitymi pojęciami kojarzyła się dawniej nazwa „Częstochowa”: u jednych — z klasztorem, u innych — z nieskończonymi kolejkami bezrobotnych przed bramami fabryk. Tę przeszłość przekreśla dziś wielkie budownictwo. W błysku aparatów spawalniczych i blasku roztopionego metalu, w zgrzycie potężnych dźwigów i ciszy pracowni kreślarskich, z woli i wysiłku całego narodu, rodzi się nowe pojęcie: Częstochowa — miasto stali.

EDWARD KARŁOWICZ

LISIA NORA

pana de Balzac

EGON ERWIN KISCH

„Prawda jest najszlachetniejszym surowcem sztuki reporterskiej, zaś precyzja najlepszym sposobem obróbki tego surowca”.

Tak pisał w roku 1936 czeski dziennikarz Egon Erwin Kisch (1885—1949), który przewędrował cały świat, zjednując sobie szybko sławę za swe niezwykle ciekawe reportaże, obejmujące łącznie około 30 tomów.

Kisch był postępowym dziennikarzem, antyfaszystą. Podczas pobytu w Niemczech został aresztowany przez hitlerowców, tej samej nocy kiedy płał Reichstag.

Czytelnikowi polskiemu Kisch znany jest m. innymi z wydanych po wojnie książek: „Jarmark sensacji”, „Chiny bez maski”, i „Meksyk”.

Niebawem, nakładem Wydawnictw MON ukaże się na półkach księgarskich w przekładzie R. Karsta nowy tom Kisch pt. „Szalony Reporter” z którego zamieszczamy poniżej fragment (r. 1925).

Na rue Berton w Passy, uliczce szerokości trzech metrów od muru do muru, uliczce wspinającej się stromo od Sekwany do stacji piorunochronnej Franklina, odkryć można dom, na którego bocznym szaro-niebieskim tynkiem pokrytym murze ktoś napisał pędzlem: „La Maison de Balzac, 1840 — 1848, s'adresser 47 Rue de Raynouard”. Znajduje się tu również piękna tablica pamiątkowa z białego marmuru, umieszczona w roku 1910: „Ten kamień milowy z roku 1731 wytyczał granicę między posiadłościami Auteuil i Passy”. Wyróżniony tak kamień graniczny, leżący pod marmurową płytą, jest starym kamieniem milowym, jak tysiące innych. Szeroka, brązowego koloru brama z drzewa wciąż się jednak otwiera i do domu Balzaka wjeżdżają wspaniałe samochody. Wewnątrz znajdują się bowiem dwa garaże samochodowe.

Kto zna listy Balzaka do pani Hańskiej, ten może sobie poniekąd wyobrazić osobliwe położenie tego domu. Przez wylot ulicy de Raynouard (ongiś rue de Basse) schodzi się po schodkach w dół aż do podwórka położonego o dwa piętra poniżej poziomu ulicy; tam stoi domek, z którego, przez zakrytą kłapę w podłodze, zejść można jeszcze o dwa piętra niżej, na drugie podwórze, skąd wychodzi się na rue du Roc, nazwaną dziś rue Berton i posiadającą ów w tablicę pamiątkową zaopatrzony kamień graniczny. Ten szczególnie położony dom zwrócił na siebie uwagę pisarza, gdy udawał się ze swoich Jardies pod Sèvres do paryskiego wydawcy; i przytłoczony troskami czuł iż grunt usuwa mu się spod nóg. Ten budynek wydawał mu się odpowiedni by, w razie potrzeby, służyć za schronienie przed wierzycielami. Chwila ta wkrótce nadeszła.

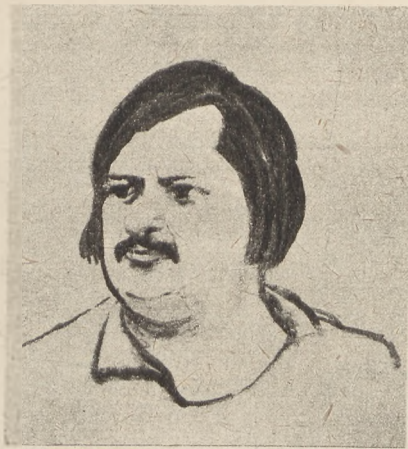
Jardies idą na licytację, Balzak zostaje najemcą („il m'a fallu demenager très lestement et me fourrer la ou je suis”) w małym domku w podwórku, w bojaźliwym ukryciu, mieszkając razem z matką, otrzymując korespondencję na obcy adres, nie przyjmując żadnych odwiedzin; tylko Gérard de Nerval, Teofil Gauthier i Léon Gozlan znają umowny sposób pukania do drzwi i hasło... Jeśli puka kto inny, Balzak wciska kapelusza na głowę, biegnie do kuchni, gotowy do ucieczki otwiera kłapę w podłodze, po czym mknie w dół po schodach na pozabawioną domów rue de Roc.

Kłapę w podłodze można jeszcze oglądać, jak również puste mieszkanie i trójkątny ogródek, w którym kwitnie jarzębina i stoi popiersie Wenery.

Zwie się to: muzeum Balzaka. Jakaś kobieta w okularach, zmywa



Balzac w młodości.



Balzac w wieku późniejszym.

właśnie podłogę. Zamieszkała tu przy padkiem Rosjanka, której powierzono sprzątanie mieszkania pana de Balzac, Opustoszałe pokoje. W pierwszym wiszą na ścianie dwie gipsowe płaskorzeźby, zapewne odlewy ściennych dekoracji teatralnych, wyobrażające grupy postaci z dzieł Balzaka: na pierwszej płaskorzeźbie widać figury ze „Scen z życia prowincji”, na drugiej z powieści paryskich.

Tu przebywał Balzac, najbogatszy z wszystkich twórców, tu przebywał dniem i nocą, przez osiem lat, tu napisał „Kuzynkę Bietkę”, „Kuzyna Ponsa”, „Blaski i nędze życia kurtyzany”, tu napisał pięć aktów „Mercadet'a” i osiemnaście żarliwych, wielkich książek — największy fantast

rzeczywistości, arcymistrz wzgardzony przez Akademię, pisarz obarczony zamówieniami wydawców, najpracowitszy i najproduktywniejszy z wszystkich znanych na świecie — tu siedział, nie mogąc się uwolnić od strachu przed więzieniem za długi. „Kiedy wychodzę, muszę wpiersz swój dom zaopatrzyć w żywność na rok” — aby matka nie umarła z głodu, jeśli go przymkna.

Potomność nie płaci za długi przeszłości. Balzakowskie muzeum? Najsmutniejszy, najmarniejszy dom pamiątkowy, jaki tylko można sobie wyobrazić! Każda wdowa po kominiarzu bardziej czerpi pamięć swego zmarłego męża, niż to muzeum pamięć Balzaka.

Są tu reprodukcje, gipsowe odlewy, wycinki, druki, fotografie. Przycisk do listów sporządzony z kamienia domu na rue Fortuné w którym Balzak umarł. (Teraz stoi tam pałac Rotszylda). Fotografie niedokończonego pomnika Balzaka, dłuta Rodina. Zwyczajny posążek Napoleona, umieszczony tu w związku z powiedzeniem pisarza: „Chcę piórem dokończyć tego, co Bonaparte rozpoczął mieczem”. Reprodukacja portretu Hańskiej, malowanego przez Daffinger'a. Na stole leżą trzy tomy słownika filozoficznego Bayle'go, jako że Balzak często posługiwał się egzemplarzem tego dzieła, i ręka pisarza odlana w gipsie. Prawdziwe pamiątki kryje tylko szklana szafa: filiżankę do kawy, wizytówkę, koszulę z wykładanym kołnierzem i bluzę, neseser, który Balzak kupił Hańskiej i blankiet rachunkowy nieszczęsnej firmy: „Imprimerie de H. Balzac et A. Barbier”. Na ścianie pokoju, w którym pracował, tkwiła w pustych ramach kartka: „Ici un Rembrandt”. Dlatego i teraz powieszono na ścianie ramę z tymi słowami. Ale i one są pisane obcą ręką — nawet z tego pełnego wyrzeczenia surogatu, pozostał tylko surogat.

Jedynie ściany jeszcze istnieją, owe ściany, z których z woli pisarza wyłoniło się tyle żarliwych postaci, aby odegrać komedię ludzkości. Z okna można jeszcze zobaczyć zameczek księżny Lamballe i park, z którego kwiatów Balzak czerpał kolory dla swojej palety. Pod nami podwórze, które było bezładne, tak iż pisarz nie musiał się bać, że zostanie zatrzymany, gdy przez dolną bramę uciekał przed wierzycielami. Ale ściany zmieniła zupełnie obca ręka, w zamku i w parku Lamballe urządzono sanatorium dla nerwowo chorych, w cichym niegdyś podwórku znajdują się dwa garaże samochodowe, na bramie widnieje tablica pamiątkowa ku czci starego kamienia milowego.

PO NAUCE-ZABAWA

(Fot. CAF)

STUDENCI wyższych uczelni polskich przygotowują się intensywnie do zbliżających się egzaminów. Razem z nimi uczą się koledzy zagraniczni studenci w Polsce. Dzięki kolektywnej pracy, pomocy profesorów i asystentów uczą się szybciej i lepiej. Wolne od nauki wieczory spędzają na wspólnych wieczornicach i zabawach tanecznych.

Na zabawie w Domu Akademickim w Warszawie bawili się niedawno studenci zagraniczni, słuchacze warszawskich wyższych uczelni oraz młodzi Koreańczycy przybyli na studia do Polski.



Albańczyk Victor Ruli (pierwszy z lewej) mówi już dobrze po polsku. Tym, którzy jeszcze nie opanowali języka, pomagają polscy studenci.



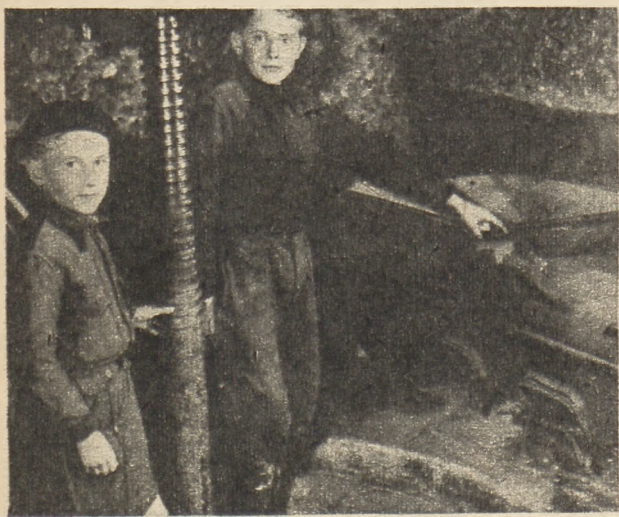
Chodź, zatańczymy polkę — prosi polska studentka Koreańczyka Din-Hak-din. Nie umiesz? Zaraz się nauczymy.



Zabawa udała się doskonale. Walcząc z kosmopolitycznymi „łamańcami” wesóło tańczyła młodzież w takt walczyków, tang, poleczek i oberków.



Popatrzcie na tego chłopca ze wsi Parcay-Meslay. Jest — a raczej był — właścicielem 10-hektarowej winnicy. W zmarszczkach jego twarzy odczytacie historię prostego i pracowitego życia. Z jaką radością — po wielu miesiącach ciężkiej pracy — wlewa do beczek dobre wino, wytłoczone z gron winnicy, której każdy krzew własną ręką okopał, wypielegnował, uchronił przed szkodnikami i porannym chłodem.



Spójrzcie, z jaką dumą 15-letni Gérard — jego najstarszy syn, który pomaga mu już w pracy — pokazuje elektryczną wylączarkę, którą ojciec zdobył kilkunastoletnią, ciężką pracą i oszczędnością.



Z miejscowymi przedstawicielami francuskiej administracji państwowej poszło zupełnie gładko. Z usługowym uśmiechem, pan prefekt zgadza się na wszystko.

Grono Gwiewu

FRANCIS CREMIEUX

W PIĘKNEJ prowincji Touraine, zwanej „ogrodem Francji“, niedaleko starego miasta Tours, na zboczach łagodnych wzgórz, wśród których wiję się Loara, dojrzewa — dzięki słońcu, ziemi i ludzkiej ciężkiej pracy — wspaniałe grono, słynne wino „Vouvray“.

Na małych działkach ziemi chłopci osiadli od wieków pieczołowicie doglądają winnych krzewów. Z promieni słońca „wrózą“ smak wina.

Pewnego dnia w ich życie brutalnie wdarł się amerykański okupant. Pierwsi pojawili się miernicy. Zapotrzeni w odpowiednie pełnomocnictwa prefekta biegali po polach i po winnicach.

W kilka dni później mieszkańcy wioski otrzymali plan, na którym czerwoną linią zakreślone były działki, przeznaczone do wywłaszczenia. Tu mają być schrony betonowe, gdzie indziej obozy wojskowe i lotnisko.

Chłopi, zagrożeni wysiedleniem, zorganizowali się w komitecie obrony swych praw. Na próżno, bo oto pojawili się i amerykańscy żołnierze. Oni przecież wiedzieli, że sprawa jest już zdecydowana. Eisenhower, czy jakiś jego pomocnik, postanowił, a usłużny rząd francuski natychmiast wykonał. Naród francuski, chłop

francuski?! A cóż to obchodzi Plevena, Schumana, czy Faure'a? I po starych winnicach przejechały amerykańskie kopaczki, niszcząc malowniczą wioskę, w której żyło i pracowało wiele pokoleń chłopów.

Chłopi francuscy doświadczają na własnej skórze skutków okupacji amerykańskiej. Narzucona Francji „pomoc“ marshallowska i wyścig zbrojeń rujnują również wieś francuską.

Francja stała się krajem okupowanym — w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu. Po całej Francji rozsiadły się amerykańskie obozy wojskowe, bazy, lotniska, składy materiałów wojennych. Nierzadko całe miasta oddawane są okupantowi — jak np. Chateauroux.

Alé lud pracujący Francji — ogromna większość narodu — nie skapitulował. I — podobnie jak hitlerowską — odrzuca również okupację amerykańską. Walkę przeciw niewoli gospodarczej i politycznej, walkę przeciw polityce przekształcenia Francji w wasalną amerykańskich i hitlerowskich magnatów finansowych — potężniejszą z dniem każdym. Walce tej przewodzi buntownicza francuska klasa robotnicza. Ma ona w masach chłopskich naturalnego sojusznika.

Zdjęcia Müller i UFP



Alé któregoś dnia, niedaleko spokojnej wsi Parcay-Meslay wyrasta wojskowy obóz amerykański. Fabrykantów śmierci i Coca-Cola nic, rzecz jasna, nie ob-

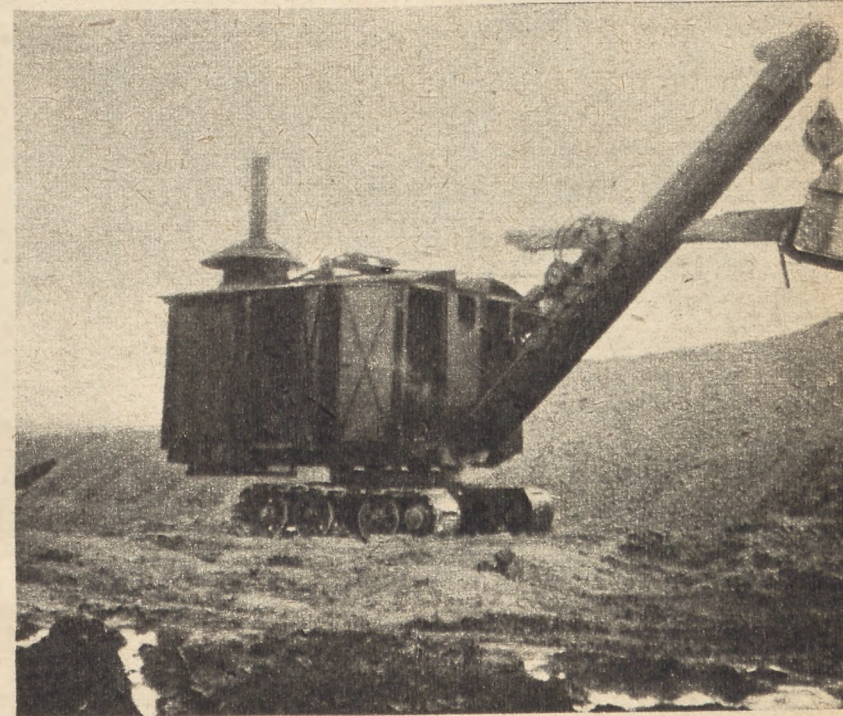
chodzi wieś Parcay-Meslay, ani piękna i żyzna Touraine, ani cała nawet Francja. Amerykańskich przybyszów interesują lotniska dla ciężkich bombowców.



We wsi wre. Rośnie gniew spokojnych mieszkańców Parçay-Meslay przeciw amerykańskim okupantom i francuskiemu rządowi zdrady narodowej. Chłopi utworzyli komitet obrony i oporu.



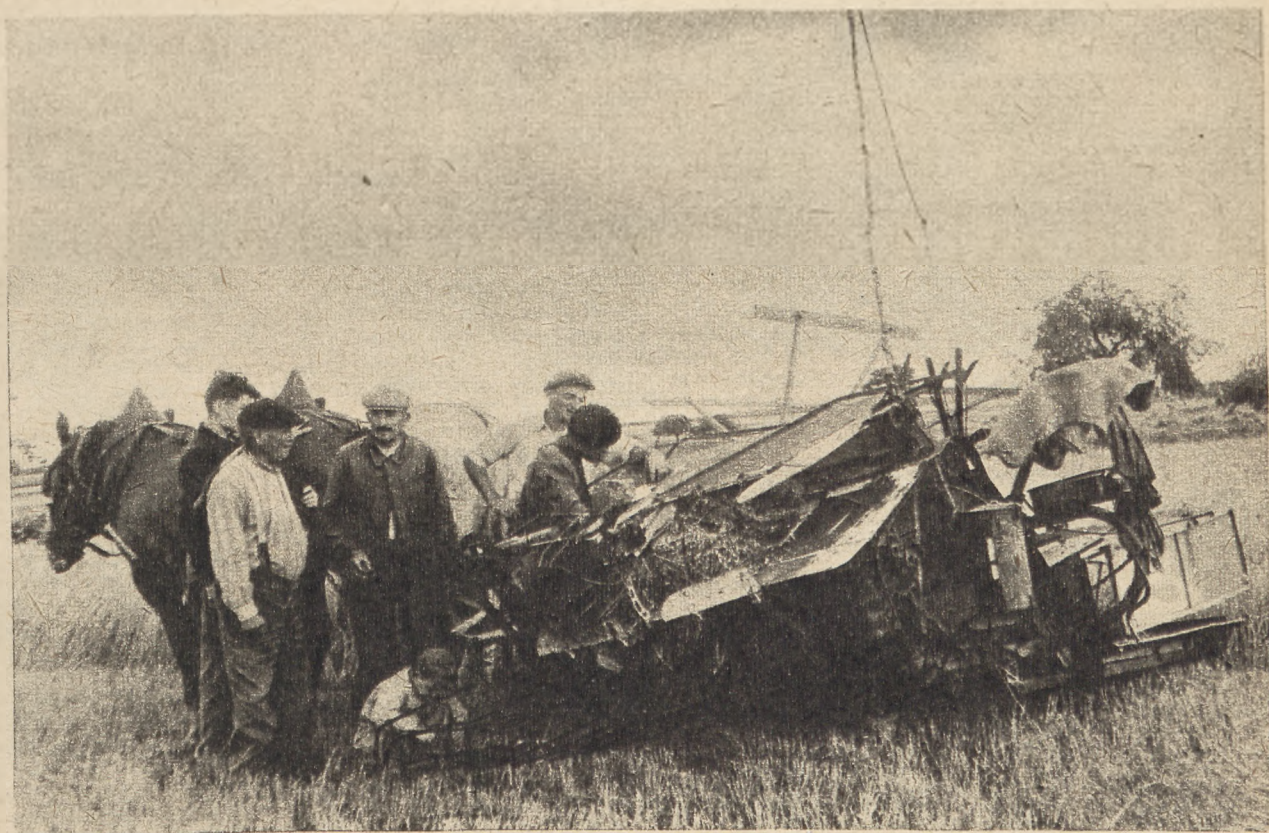
Amerykanie, z góry pewni swego, ścignęli już na miejsce przyszłej bazy materiały i maszyny, potrzebne do zbudowania betonowego lotniska — i do zaorania winnic i zrujnowania chłopów



Spójrzcie, co zostało po kilku dniach z winnicy, na której młody Gérard pomagał ojcu hodować pełne słońca i radości grona „Vouvray”.



Równocześnie mieszkańcy wsi zaczęli masowo podpisywać apel Światowej Rady Pokoju: przeciw grożeniu bronią atomową, przeciw wojnie i przygotowaniom do



wojny. Za paktem pokoju między pięciu wielkimi mocarstwami! Pola i winnice niechaj rodzą chleb i wino. Nie dopuścimy do tego, aby na życzenie

królów armat stały się pogorzeliskiem atomowym — oto, co mówią chłopi francuscy, podpisując Apel Pokoju, oto, dlaczego go podpisują.

Pożegnanie z

FERNANDEM GARIMAUX

OPOWIADANIE

(6)

Komisarz Lazard siedział w czarnej limuzynie, ukrytej w podwórzu jednej z kamienic. Najwidoczniej tu właśnie znajdował się sztab akcji, której na imię było „Zakłady Periquet”. Nasz samochód stanął, gdy zatrzymał się wóz Stewessa. Angielski dziennikarz najwidoczniej był poinformowany, gdzie rezyduje komisarz Lazard. Zaparkował auto na chodniku i dopiero, gdy uczynił kilka kroków naprzód i zajął do bramy, w której nic nie znalazł, zwrócił się ku nam. Chcieliśmy go minąć, ale on zatrzymał nas i przedstawił się.

— Jesteśmy kolegami. Niezależnie od tego, jaki kierunek polityczny przedstawiają nasze pisma czy agencje, dla których pracujemy, powinniśmy sobie pomagać — oświadczył wielkodusznie znakomity korespondent,

wia się na miejscu po fakcie — jak straż ogniowa po wybuchu pożaru — a nie przed nim. Gdzie tu logika? Nawalił ten Anglik... Zaczekajmy na niego, co?... Może znów nam coś powie, jeśli taki głupi...

— On nie tyle jest głupi, co pewny siebie. Zauważyłeś, jak z miejsca poinformował komisarza, że jesteśmy z dzienników komunistycznych? To tak samo, jakby rzekł: „Uważaj na tych dwóch. Miej się na baczności...”

Zatrzymaliśmy auto niedaleko fabryki, poza kordonem, w miejscu, przez które Stewess musiał przejeżdżać.

Paliliśmy w milczeniu.

— Głupia robota — powiedziałem.

— Szkoda, że nie posłano mnie na Nord. Nie nadają się do konferowania z policjantami...



wiedząc, że tego dnia my jesteśmy mocniejsi od niego.

Komisarz Lazard przyjął nas wewnątrz wozu. Ja siedziałem za kierowcą. Officerowie co chwila podawali komisarzowi jakieś kartki. Ten rzucił na nie okiem, mrużąc: „dobrze”. Prawdziwy sztab wielkiej armii. Gdy officerowie przestali podchodzić Lazard zagłębił się w notatkach. Stewess kręcił się niespokojnie na tylnym siedzeniu, obok komisarza. Pierre znajdował się przy mnie. Wewnątrz światła były zapalone i komisarz nie mógł nas nie widzieć.

— Jestem John Stewess z agencji Shoper and Shoper — Stewess nie wytrzymał — a ci dwaj panowie są reporterami paryskich dzienników komunistycznych.

Komisarz Lazard podniósł głowę. Obrzucił mnie i Pierre'a niewidzącym spojrzeniem.

— Panowie? Czego sobie życzycie?

— Czy komuniści szwają zamach na fabrykę? Jak dokładnie, na miejscu, że się tak wyrażę, wygląda ta sprawa? — spytał szczerze Stewess.

Lazard podskoczył jak oparzony.

— Szykują? Czy szykują? Nic nie szykują! Olivier! — krzyknął, otwartym przedtem boczna szyba.

Zjawił się officer.

— Odprowadź tych panów.

Wyprowadzono nas. Pierre klócił się przez chwilę. Stewess jednak został. Pierre w aucie wypowiedział słuszną myśl.

— Ten dureń wygadał się. Dlatego nas spławił. Jak oni mogą wiedzieć wcześniej, że komuniści szykują zamach na fabrykę? Policja zwykle zja-

— Robota jest może i głupia — przytaknął Pierre. — Ale ta cała historia zaczyna mi być podejrzana. Stary nie na darmo nas tu posłał. I wiesz co mi się zdaje?

— Nie wiem — odparłem.

— Tutaj nikt nic nie wie...

— Dobry sobie jesteś. Ty i ja rzeczywiście niewiele wiemy...

— Nie śmiej się. Nasi niewiele wiedzą. Ten komisarz, daje głowę, też nie wie. Trzymam zakład, że rozmowa ze Stewess'em potwierdzi moje przypuszczenie... A jeżeli cel i znaczenie akcji są zakonstruowane, to znaczy, to znaczy...

— To znaczy, że nie wiadomo. A oto i Stewess.

Pierre stanął na środku jezdni i wyciągnął rękę. Stewess poznał nas. Jakby ociągając się wysiadł z wozu. Był jednak bardzo grzeczny. Chciał nas poczęstować papierosami. Podziękowaliśmy. Paliliśmy przed chwilą. Zapalił sam.

— Dzisiejszy strajk zapowiada się ciekawie. — Powiedział to tak, jakby mówił: „Dzisiejsze przedstawienie zapowiada się interesująco...”

Pierre tak mocno ścisnął moją rękę, że mu ją wyrwał, rzucając wściekłe spojrzenie.

— Otóż to — powiedziałem. — Więc to prawda, że w fabryce znaleziono maszynę piekielną? — palnąłem na chybił trafił.

Stewess uśmiechnął się dyskretnie.

— Pan żartuje — rzekł z godnością. — Czuję się w obowiązku powtórzyć panu słowa komisarza Lazard. Komisarz Lazard powiedział: „to, co przed panem stwierdza, niech pan powtórzy tym pańskim kolegą, któ-

ry będą pytać, dlaczego policja otacza Periquet'a. Otóż są to zwykłe manewry i nic więcej. Skończyłem”. Tak powiedział komisarz Lazard...

Pierre uśmiechnął się zjadliwie.

— Dziękujemy panu za tę cenną informację. Żeby się zrewanżować, powiem panu w zaufaniu, iż komisarz Lazard wypełnia wolę tych wyższych dygnitarzy, którzy popierają strajk. Policja po prostu nie dopuszcza do fabryki łamistraszków...

— Pan żartuje, a ja panom udzieliłem pewnej i konfidenckalnej wiadomości — rzekł poważnym głosem Stewess. — Pragnąłbym współpracować z panami. Jednak widzę, że jest to niemożliwe. Istotnie, jak niektórzy twierdzą, współpraca z komunistami jest niemożliwa...

Odwrócił się na pięcie, wsiadł do samochodu i odjechał.

— Dostał jakąś informację — powiedziałem. — Jedźmy za nim. Za szarym autem, Jacques...

Jechaliśmy za Stewess'em. Widzieliśmy jego wóz, jak wychylał się zza każdego kolejnego rogu, który mijaliśmy w pogoni za nim, zbliżaliśmy i znów pozostawialiśmy w tyle, żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi angielskiego dziennikarza.

Stewess zmierzał do śródmieścia. Ulice, mimo iż był już dzień, wciąż pozostawały puste. Niewielu cyklistów, trochę eleganckich prywatnych aut i trochę policyjnych, gęste patrole pieszej i zmotoryzowanej policji — to było wszystko, czyli jak na śródmieście — zgoła nic. Z zadumy wyrwał nas nagły wstrząs. To Jacques zahamował. Stał koło zamkniętej restauracji. Kilkadziesiąt metrów przed nami John Stewess wysiadł z samochodu i szedł szerokimi schodami do gmachu, o którym wystarczyło powiedzieć przy jakiej ulicy stoi, a każdy wszystko już o nim wiedział. Znajdowaliśmy się na rue de Saussaie...

— Że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy — mówiłem, gdy samochód mknął w stronę redakcji. — Przecież tak łatwo było odgadnąć, gdzie John Stewess zbiera informacje...

— Jacques — zawołał Pierre. — Jedź do CGT. Z czym wrócimy do redakcji? Przecież jesteśmy teraz tak samo mądrzy, jak w chwili, gdy wyjeżdżaliśmy...

— Masz rację.

Jacques skreślił w lewo.

— Przypominałem sobie treść tego artykułu w „Action” — przerwałem milczenie. — Otóż właśnie chodziło tam o Periquet'a. Amerykanie pragnęli kupić tę fabrykę. Lecz towarzystwo będące właścicielem zakładów — nie chciało się jej wyrzec. Nie zgodziło się. I czy wiesz, że po tej odmowie francuski rząd cofną francuskim właścicielom Periquet'a już przyznaną pożyczkę?...

— O tym też pisała „Action”?

— Nie, to opowiadał mi redaktor Molinet...

W CGT otrzymaliśmy konkretnie, trudne i odpowiedzialne zadanie, przedostać się na teren zakładów Periquet i zrobić duży reportaż z przebiegu strajku okupacyjnego. Specjalną uwagę polecono nam zwrócić na robotnika Fernanda Garimau.

W CGT również poinformowano nas o aresztowaniu Danielle Garimau.

VIII

Duvin kazał uważać. Poleciał się rozglądać.

— Musicie wiedzieć, co się dookoła dzieje — mówił. — Czuć sytuację, trzeba czuć sytuację, rozumiecie?...

Maszyn w mroku wyglądały jak cienie wielkich drzew. Są okazałe i nieruchome. W hali panuje cisza. Ludzie rozlokowali się z dala jeden od drugiego, tak, żeby cały teren fabryki był kontrolowany. Należało sprawdzać całą przestrzeń objętą szerokimi ramionami murów, trzeba było nasłuchiwać, trzeba było z niezmiennie skupioną uwagą otaczać każdy fragment fabrycznego podwórza, hali fabrycznej,

dróg, dojsz i trawników. Tak bowiem czynić polecił towarzysz Duvin.

Tylko nielicznym udzielił dodatkowego wyjaśnienia:

— Uważać. Kapitalistom może strześć do łba niewiedomo jaki świński pomysł. Strzec się prowokacji...

I ludzie rozstawiali się. Fernand otrzymał stanowisko pod wielkim bębniem, do którego specjalne rynnny odprowadzały z automatów odpadki i resztki. Naprzeciw znajdowało się duże, stylizowane trochę na gotyk, parterowe okno. Fernand siedział zwrócony do niego bokiem. Plecami wsparty był o chłodną powierzchnię żelaznej podstawy bębna. Nogami dotykał postumentu najbliższej obrabiarki. Noc wciąż trwała. Okno było tak samo ciemne jak ściana obok. Fernand starał się myśleć intensywnie, żeby nie zasnąć. Nie udawało mu się to jednak. Właśnie te próby potęgowały jeszcze senność. Na moment uciał drzemkę — obudziło go jakieś chrobotanie. Może to sąsiad nieostrożnie poruszył nogą?... Niewidoczny wysoki sufit, oddalone od siebie ściany, twarde przedmioty wyolbrzymiały echo, które ze zwykłego szelestu papieru czy uderzenia o żelazo, uczyniły brzęczący odległy grzmot, trwający przez chwilę. Fernandowi przypominała się dawna wycieczka odbyta jeszcze w Grenoble, gdy był dzieckiem. Po śmierci matki przysparzał go sąsiad — elektrotechnik. Za miastem, wtedy na tej wycieczce złapała ich burza. Długi, głuchy grzmot przewalał się po niebie.

Ojciec Fernanda był stolarzem — domokrądcą. Fernand go nie znał. Ojciec zginął w nieszczęśliwym wypadku: spłoszone konie stratowały go, gdy nieszczęście się nie spodziewając szedł brzegiem drogi do domu. Za to matkę pamiętał. Pamiętał jej dźwięczny śmiech. Zawsze było pełno mężczyzn w kuchni, gdzie mieszkała. Przeważnie byli to robotnicy z pobliskich kamieniołomów. Ten śmiech matki, która umarła na zapalenie płuc, gdy Fernand miał osiem lat, pozostał w jego pamięci jako coś przykrego. Może dlatego ożenił się z Danielle, która nigdy głośno się nie śmiała, a tylko się uśmiechała?

Myślał o Danielle.

Tak szeroko stawia nogi, jakby trochę niepewnie. Gdy schyla głowę, włosy opadają jej na oczy. Odrzuca je swymi białymi rękami. Jej palce są długie i smukłe. W szlafroku wygląda jak młody chłopiec. Jest kształtna i smukła. Czasem oczy Danielle spoglądają jak przez mgłę. Z taką dziewczyną można by sobie niegorzej życie ułożyć. Lecz w jednym małym pokoiku trudno to uczynić. Chociaż i Kamil i Lola nie przysparzają zbyt dużo kłopotu. Danielle dobrze je wychowuje. Są grzeczne i wiedzą, że, gdy ojciec przychodzi z pracy, nie można za głośno dokazywać.

Fernand często był niespokojny o Danielle. Nie żeby jej nie ufał. Lecz tkwiło w nim wciąż poczucie niższości prowincjonalna w stosunku do paryżanki. Gdy Danielle zgodziła się wyjść za niego za mąż, zdziwił się. Potem często się dziwił, lękał i znów dziwił, że Danielle mieszka razem z nim w dusznym latem, zimą chłodnym, a zawsze ciemnym i wilgotnym pokoiku, że gotuje mu obiad, rodzi i wychowuje dzieci. W Grenoble tak zgrabne dziewczęta rozdyły się jedynie w bogatych mieszczańskich domach. Tacy, jak Fernand, mogli tylko na nie patrzeć i to nie zawsze, bo wyłącznie w niedzielę znajdowała się na to sposobność.

Danielle była dobrą żoną. Dbała o niego. Nigdy, nawet w okresie najbardziej nasyconym macierzyństwem, nie zapominała o nim. A co on jej za to dawał?

Hala fabryczna, w której teraz się znajdował, produkowała bogactwa. Ręce robotników i maszyny tworzyły tutaj miliony i miliardy. A każda sukienna Danielle, to zachwianie równowagi skromnego budżetu domowego...

ciąg dalszy nastąpi

TWARZE ODLEGŁYCH WIEKÓW

ADAM HOLLANEK



Profesor M. Gierasimow — człowiek, który potrafi na podstawie

budowy czaszki odtworzyć wygląd jej dawno zmarłego właściciela.

CZY można sobie dokładnie wyobrazić, jak wyglądali nasi dalecy przodkowie? Czy uczeni dzisiejsi są w stanie odtworzyć wiarygodnie wygląd ludzi pierwotnych? Do niedawna wydawało się to niemożliwe. Cóż bowiem zachowało się po naszych prapraprzodkach? Szczątki kości na dawnych cmentarzyskach. Tu i ówdzie jakieś zartarte rysunki, czy prymitywne rzeźby. Jakże z tego można wyciągać konkretne wnioski naukowe co do zewnętrznego wyglądu żyjących przed wiekami mieszkańców naszej planety?

Znalazł się jednak człowiek, który oświadczył wręcz: „Pokażcie mi odnalezione w mogiłach czaszki dawnych ludzi, a powiem wam, jak wyglądali. Nie tylko powiem, ale i pokażę!” I tu jest początek następującej historii: Na Krymie odkryto ruiny prastarego miasta sprzed przeszło tysiąca lat. Uczni-archeologowie nazwali je Neapolem Scytyjskim. Badania przekonały ich bowiem, że miasto było stolicą Scytów, zamieszkujących niegdyś Krym i obszary nadczarnomorskie. Podczas prac wykopaliskowych natrafiono na wielki grobowiec. W kamiennym sarkofagu pod warstwą złotych płytek odkryto szkielet ludzki. Widocznie złote płytki były niegdyś naszyte na odzież nieboszczyka, która po upływie setek lat rozleciała się w proch. Przetrwało do naszych czasów złoto i — co najważniejsze — czaszka, dobrze zachowana cza-

szka zmarłego. Wydobyto ją ostrożnie i oddano do doświadczeń człowiekowi, który obiecywał zrekonstruować podług niej twarz pochowanego w grobowcu mieszkańca Neapolu Scytyjskiego.

Po pewnym czasie praca została ukończona. Przed oczami archeologów znalazło się popiersie gipsowe, przedstawiające oblicze mężczyzny, o lekko skośnych oczach, patrzących inteligentnie i nieco drapieżnie, o ostrym długim nosie i spiczastej brodzie. Popatrzywszy na tę gipsową twarz uczeni ze zdziwieniem rozpoznali scytyjskiego władcę Skilura, z drugiego wieku przed naszą erą. Znali tę twarz z Muzeum Historycznego w Moskwie, w którym znajdują się trzy mone-ty, przedstawiające owego władcę.

Triumf odtwórcy twarzy według budowy czaszki był niewątpliwy. Ale przeprowadzono jeszcze szereg innych prób. Zawsze jednak rzeźba wykonana według czaszki ludzko podobna była do portretów tych samych osób. Portretów, które przed mistrzem przechowywano w tajemnicy, aby poddać krzyżowym próbom jego metodę.

Głośnym echem w Kraju Rad i kołach naukowych całego świata odbiła się historia portretu Marii Dostojewskiej. Kilka lat temu przesłano odtwórcy twarzy ludzkich, czaszkę z adnotacją, że została ona znaleziona w grobowcu na jednym z moskiewskich cmentarzy, i że zmarły „właściciel” tej czaszki kontaktował się blisko

z jednym ze słynnych pisarzy rosyjskich. Przeprowadziwszy doświadczenia badacz nasz stwierdził, że była to czaszka kobiety 36-37 letniej, o szerokim owalu twarzy, pięknie osadzonych oczach i wydatnym, lekko zgarbionym nosie. Uczony odtworzył jej twarz. I co się okazało? Rzeźba wykazywała dokładne podobieństwo do portretu Marii Dostojewskiej — matki wielkiego pisarza.

Uczony, który tak bezbłędnie portretuje niewidziane nigdy osoby, nazywa się Michał Gierasimow. Próby nad odtwarzaniem oblicza rozpoczął jeszcze 12 lat temu. Początkowo badał wnikliwie budowę czaszek ludzkich i miękkich tkanek twarzy. Przekonał się szybko, że między czaszką a twarzą istnieje ścisły związek. Różny układ kości czaszki warunkuje różny układ mięśni, tłuszczu i skóry, składających się na wygląd twarzy. Tę właśnie zależność między formą czaszki a zewnętrznym wyglądem twarzy badał przez 12 lat Gierasimow i odkrył prawa nią rządzące. Ujął je w tabele i formuły, stwarzając tym samym naukowe podstawy swej metody. Odtąd doświadczenia jego mogą powtarzać także inni uczeni.

Gierasimow sportretował, na podstawie znalezionych szczątków, naszych prapraprzodków od małpóluda do człowieka epoki kamiennej. „Dał twarze” wielu postaciom historycznym, o których wyglądzie uczeni nie mieli pojęcia.

Metoda uczonego jest stosunkowo prosta. Według opracowanych przez niego reguł nanosi się na czaszkę materiał o kształcie mięśni i innych miękkich tkanek twarzy. Materiał nakłada się stopniowo, warstwami. Pewne trudności przedstawia często rekonstrukcja owłosienia twarzy i głowy. Tu uczonego musi się już kierować wiadomościami historycznymi o rodzaju fryzur w danej epoce, modzie itp. Doświadczenia kontrolne wykazały, że nawet i w tej dziedzinie Gierasimow właściwie oddaje wygląd odtwarzanej postaci.

Prace jego mają poważne znaczenie dla etnografów, historyków i antropologów, pozwalając im naocznie prześledzić przemiany, jakie zachodziły w ciągu trwającej tysiące lat ewolucji człowieka. Za swe wielkie zasługi Gierasimow został wyróżniony Nagrodą Stalinską.



Spiewaczka J. Orosz wystąpiła w roli tytułowej.

„HALKA” NA WĘGRZECH

Ubiegły tydzień — obok wyjazdu zespołu „Mazowsze” na Węgry oraz przyjazdu Zespołu Artystycznego Armii Węgierskiej Republiki Ludowej, przyniósł jeszcze jeden fakt, świadczący o znacznym ożywieniu polsko-węgierskich stosunków kulturalnych: Magyar Allami Operaház (Opera Państwowa) w Budapeszcie wystawiła „Halke” Stanisława Moniuszki.

Przedstawienie zostało przez Operę budapeszteńską przygotowane z niezwykłą starannością. Wzięli w nim udział czołowi soliści.

Reprodukujemy obok 3 zdjęcia z przedstawienia „Halki” w Budapeszcie.



U góry: Tibor Udvardy w roli Jontka. Poniżej: scena zbiorowa z ostatniego aktu przedstawienia.



Kobieta-sinantropus, która żyła pół miliona lat temu w Azji wschodniej.



Tak wyglądał — wnioskując z budowy czaszki — wielki zdobywca, Tamerlan.



Król Scytów — Skilur — według rzeźby wykonanej przez prof. Gierasimowa.



ŚWIAT przypomina!

Psy, ludzie, wścieklizna i biurokracja

W piśmie „Kraj” z dnia 15 lutego 1902 roku opisano następujące wydarzenie:

„Był tedy czarno-żółty pies w Prądniku pod Krakowem, silny kundys, który wściekł się z niewiadomej urzędownie przyczyny. Czując swój stan, rozumny kundys zapragnął „zameldować się” co prędzej u „dotyczącej władzy”. W tym celu ugryzł psa samego pana wójta. Pan wójt się zmartwił. Nie widząc żadnego skutku, pies gryźć jął po tydkach członków rady gminnej na wyrwyki. To poskutkowało: rada się zebrała i postanowiła „zameldować” ten wypadek starostwu. Bez wahania starostwo zarządziło zabicie chorego psa w zasadzie, poruczając jego wykonanie „dotyczącej władzy”. Bezwzględnie też rozpoczęło korespondencję, w celu wyjaśnienia, która władza jest „dotycząca”?

Pokazało się, że jej właściwie nie ma. Myślano zrazu o oprawcy miejskim, ale wyczerpująca i gruntowna korespondencja z magistratem krakowskim wykazała, że oprawca ten urzęduje tylko w obrębie rogatek. Trzeba więc albo zyskać kredyt na stworzenie nowej posady oprawcy dla powiatu, rozpisac konkurs itd itd., „albo niech przyjdzie na teren gminy miejskiej”. Pies tymczasem kąsał ludzi po okolicy bez wyraźnej myśli przewodniej, co częściowo tłumaczy się zrozumiałem łatwo zdenerwowaniem, częściowo poszukiwaniem na własną rękę, acz niecałobalutnem, „władzy dotyczącej”. Skoro jednak tylko sprawę wyjaśniono, pies natychmiast przyszedł „zameldować” się do Krakowa.

Przechadzał się po ulicach — na próżno. Biedaczysko nie wiedział, że dotychczasowy oprawca właśnie podał się do dymisji, a jego następca jeszcze nie objął urzędowania! Pies starał się usilnie zwrócić na siebie uwagę władzy, kłusując w Krakowie ludzi to koło dworca kolei, to po ulicach, na których przypuszczał obecność osób urzędowych. W braku „dotyczącej władzy” mozolił się tak przez kilka dni bez skutku. Słyszał widocznie, że są u nas ludzie, którzy starają się budzić władze z jej drzemki i, wędrem swym wiedziony, odnalazł d-ra L... adwokata i dziennikarza — „ten mi na pewno pomoże” — i ugryzł go w nogę. Adwokat jednak zamiast uderzyć na alarm, poszedł się leczyć do zakładu d-ra Bujwida, gdzie zaczęło się zbierać coraz liczniejsze towarzystwo. Pies był w rozpacz. Co mógł, zrobił, by się „zameldować” — i nic! Nieznużony, obmyślił sposób niezmiernie przebiegły. Znalazł na ulicy dwóch policjantów i zatrzymał się przed nimi chwilę, rozumując: „Ukąszę ich- Pójdą do d-ra Bujwida. Nie głupim!” I przed nosem policjantów kąsać zaczął jakiegoś przechodnia. Ten, opędzwszy się sam, jak mógł, wskoczył do dorożki: „do d-ra Bujwida”, a policjanci dalej nieruchomie i niewzruszenie „pilnowali porządku”!

Pies nie wiedział, że Kraków, jako forteca, ma policję nie miejską a wojskową, a nadzór nad psami i wodowstrętem należy do zakresu działania władz miejskich! Nie wiedząc tego, pobiegł do dyrekcji policji, stanął pod węglem i... podniósł lewą nogę. Policjant patrzył nań uważnie, pies na policjanta wyzywająco. Wreszcie, zniechęcony, machnął ogonem: „Nie! I to widocznie nie jest jeszcze władza „dotycząca!” Oczy psu błysnęły jasno, zaświeciła w nich myśl nowa, stanowcza. Wciągnął ogon, pochylł głowę i ruszył prosto przed siebie cwałem. Przebiegł miasto, minął rogatki pędził na oślep na przelaj polami: zagony migaly się mu na oczach. Dopełnił do granicy rosyjskiej. Pies nie miał paszportu. Czy wiedział, że go tu potrzeba? Niewiadomo. Wieczystą więc pozostanie tajemnicą, czy chciał wejść w zakres działania innej władzy, czy krok jego ma znamiona samobójstwa? Dość, że mimo wołania: „stój!” pędził, aż padł od kuli strażnika!

Wydarzenie bardzo zabawne, ale jednocześnie tragiczne. Po 30 przeszło latach lekarka z tychże samych podkrakowskich okolic pisała w swoim pamiętniku, wydrukowanym następnie w „Pamiętnikach Lekarzy” (rok 1939) o tym, jak wezwano ją do chorego na wściekliznę:

„Oczywiście, że pan ma zapalenie — mówię, i wysłałam pomówić z żoną. Pomówić w sprawie transportu do szpitala. Za kilka godzin zaczyna się ataki. Już teraz jest bardzo podniecony. Na widok wody wpada w szal. Pozabija całą rodzinę. W domu są drobne dzieci. Nie można go tu zostawić. Trzeba go odtransportować do szpitala. Piękne słowo.

Zdarza się, że ktoś z letników zachoruje w pobliżu Suchej. Chce jechać do szpitala. Pyta się wtedy o auto sanitarne. Niechże posłucha o tym aucie.

Na furmance, którą przyjechałam układa się pośladki ze słomy. Na szukanie drugiej furmanki nie ma czasu. Jedziemy razem z pacjentem do Suchej.

Przyjechaliśmy do mego mieszkania. Zostawiłam w domu krawca z żoną. Poszłam na pocztę. Zate-

lefonowałam na pogotowie w Krakowie. Otrzymałam tam cenne informacje: Pogotowie nie wozi chorób zakaźnych. Inne przewozi, owszem. Z Suchej do Krakowa za 100 złotych. Poradzono mi dzwonić do Miejskich Zakładów Sanitarnych. Auta Miejskich Zakładów przewożą zakaźne przypadki, owszem. Ale nie wyjeżdżają poza Kraków. Zatelefonowałam do starostwa w Makowie — udzieliło mi grzecznej dobrej rady: niech go transportuje gmina. Ale gmina jest w Kukowie o 12 km. od Suchej, a rodzina...

U mnie w mieszkaniu popłoch. Pacjenci uciekają i krzyczą. Krawiec już opowiedział wszystkim, co mu jest. Zona zabrała wóz i odjechała do Kukowa.

Za 20 minut odchodzi pociąg. Wychodzę na ulicę. Zatrzymuję najbliższego policjanta. Proszę go o odwiezienie pacjenta. Pojechałabym sama, gdyby mi czas pozwolił. Dałam pieniądze na bilet. Poszli.

Chłop ledwo się trzymał na nogach. Może zajdzie na stację przy pomocy policjanta.

Odetchnęłam. Nie wiedziałam tylko, że policjant nie pojechał. I że też się boi wścieklizny, choć nosi bagniet i karabin. Że odprowadził go tylko na stację. Że chory pojechał sam. Że w Krakowie na ulicy dostał ataku. A ataki wścieklizny są jak stan szalowy wariata.

Dziś wszystko wiem. Wiem, że w Suchej nie ma nawet noszy na transport chorych, chociaż gościłcem mkną setki aut, a w górze walczy czasami aeroplan. Że prędzej można się dostać do stratosfery niż ze wsi w nagłym wypadku do szpitala”.

Tragiczna śmierć Zapolskiej

W związku z trzydziestą rocznicą śmierci wielkiej naszej dramatopisarki, Gabrieli Zapolskiej, przypomnieć warto, co po jej śmierci pisała prasa ówczesna, charakteryzując stosunek ówczesnych władz do ludzi sztuki. „Tygodnik Ilustrowany” z 21.I.1922 nawliżywał jednocześnie do śmierci dwóch innych popularnych wówczas dramatopisarzy, a mianowicie: Zygmunta Sarneckiego i Stanisława Kozłowskiego:



„Po bujnym i pracowitym życiu Sarnecki, zmęczony, kończy wreszcie w schronisku dla starców. Tak więc w jednym niemal miesiącu Zapolska umiera w niedostatku, Kozłowski ponó nie w najlepszych stosunkach finansowych, a Sarnecki na żebraczym chlebie. I to wszystko ludzie zasłużeni, mający swoje nazwisko w literaturze, ludzie, którzy społeczeństwu dali z siebie najlepszą część. Nic zatem nie zmieniło się od czasu, kiedy Norwid konał w przytułku Św. Kazimierza w Paryżu — mimo, iż ciągle się słyszy wiele na temat poprawy stosunków społecznych w Polsce, że istnieją jakieś departamenty kultury i sztuki, są związki „zawodowe” literatów, sejm ma uchylać „pensje” dla twórców... Jest to objaw tak znamieny dla naszej kultury, że nie pomoże wydawanie broszur propagandowych zagranicą, przystępowanie do konwencji strzegących praw autorskich etc. Przede wszystkim bowiem trzeba dbać o literaturę tu w Polsce i nie nagradzać ludzi za pracę całego życia... śmiercią głodową”.

Kilkaset złotych Przybyszewskiego

Po zagarnięciu władzy przez sanację w Polsce sytuacja pisarzy i innych twórców nie uległa zmianie. W „Przeglądzie Porannym” z dnia 23 listopada 1927 roku zamieszczono list Przybyszewskiego, pisany na kilka godzin przed nagłą śmiercią, dotyczący jego odczytu w Poznaniu:

„Raz jeszcze Was proszę: jaknajskromniej, bez żadnego rozgłosu, jam aż nadto syt — nie chwały, bo tej nie zaznałem — ale osławienia, ludzkiej ciękawości i złośliwości. Przecież ja przyjeżdżam na odczyt jedynie tylko po to, by parę set złotych zarobić i na zimę się oporządzić. Nic więcej”.

Kto wymyślił „żelazną kurtynę”?

Pojęcia „żelaznej kurtyny” nie wymyślił Churchill. Okazuje się, że pojęcie to nie powstało bynajmniej dopiero po drugiej wojnie światowej, ale o wiele wcześniej. Dotyczyło ono polityki angielskiej zmierzającej do stworzenia w Europie frontu antyradzieckiego. Podobnie jak i dzisiaj. Oskarżając Związek Radziecki o politykę „żelaznej kurtyny”, Churchill pragnął odwrócić uwagę od Wielkiej Brytanii, z którą pojęcie to jest związane.



Oto w sanacyjnym tygodniku „Przełom” z 19 marca 1927 roku czytamy:

„Nieprzyjaciele obecnej polityki angielskiej nazywają akcję dyplomatyczną Chamberlaina zapuszczeniem kurtyn żelaznych nad Renem i nad Wisłą”.

LAUREACI STALINOWSKIEJ NAGRODY POKOJU 1951 ROKU

JORGE AMADO

DROGI GŁODU

Powieść

str. 340

zł 9,—

JUBIABA

Powieść

str. 350

zł 11,10

RYCERZ NADZIEI

Zycie Luis Carlos Prestesa

str. 300

zł 9,60

ŚWIT BRAZYLII

Opowiadania

str. 263

zł 9,60

ZAMARŁE MORZE

Powieść

str. 260

zł 9,40

ZIEMIA KRWI I PRZEMOCY

Powieść

str. 324

zł 13,50

ZIEMIA ŻŁOTYCH PŁODÓW

Powieść

str. 434

zł 13,50

ALBANIA RADOSNA

Reportaż z podróży

str. 70

zł 2,40

ANNA SEGHERS

BUNT RYBAKÓW Z SANTA BARBARA

Opowiadanie

str. 82

zł 3,—

LINIA

Nowele

str. 60

zł 2,50

LIST GOŃCZY

Powieść

str. 173

zł 6,50

OCALENIE

Powieść

str. 465

zł 13,80

SIÓDMY KRZYŻ

Powieść

str. 407

zł 15,—

TOWARZYSZE

Powieść

str. 220

zł 8,—

TRANZYT

Powieść

str. 276

zł 10,—

UMARLI POZOSTAJĄ MŁODZI

Powieść

str. 537

zł 21,—

WESELE NA HAITI

Opowiadanie

str. 121

zł 4,50

„C Z Y T E L N I K”

NOWE UTWORY

JERZY WALDORFF

ZYCIE i pracę naszą cechuje nie tylko wielki rozmach, ale i — mówiąc językiem muzycznym — harmonia tego rozmachu. Budownictwu socjalistycznemu polskich miast, wsi i fabryk dotrzymuje kroku nie mniej intensywny rozwój polskiej kultury. Poniżej podajemy trochę nowin o pracy kompozytorów młodszego pokolenia muzyków.



GRAŻYNA BACEWICZÓWNA jest młodą kompozytorką, a przecież w dorobku swoim ma już 2 symfonie, uwerturę, Kantatę olimpijską, Introdukcję i Kaprys na orkiestrę symfoniczną, 4 koncerty skrzypcowe, rapsodie na skrzypce z orkiestrą, koncert fortepianowy, koncert wiolonczelowy, 4 kwartety, kwartet na 4 skrzypce, 2 tria, suitę na 2 skrzypce, 5 sonat skrzypcowych, sonatę fortepianową i dużo drobnych utworów fortepianowych, skrzypcowych oraz na inne instrumenty, wreszcie liczne pieśni i utwory o charakterze pedagogicznym.

Za IV Kwartet otrzymała w 1951 roku I nagrodę na Międzynarodowym Konkursie na Kwartety, zorganizowanym przez miasto Liège, w Belgii. We wrześniu b. r. odbędzie się w Liège Międzynarodowy Konkurs dla kwartetów — zespołów wykonawczych, przy czym każdy zespół będzie musiał obowiązkowo wykonać nagrodzony Kwartet Bacewiczówny.

— Co Pani teraz pisze? — pytamy Grażynę Bacewiczównę.

— Skończyłam IV Koncert skrzypcowy, a w robocie mam III Symfonię, która gotowa będzie w kwietniu. Projektuję napisanie VI Sonaty fortepianowej i V Kwartetu. Niezależnie od większych prac będę równocześnie pisała drobne utwory na skrzypce. Wielką podniecią twórczą i dla mnie i dla wszystkich kompozytorów jest fakt — mówi Bacewiczówna — nie do pomyślenia dawniej, że utwory nasze są natychmiast wykonywane, gdy tylko je napiszemy. Słyszac je „na gorąco”, najlepiej poznajemy ich zalety i błędy i nabieramy doświadczeń do dalszej pracy. To zapala...



WITOLD LUTOSŁAWSKI jest przede wszystkim znany milionowym rzeszom słuchaczy Polskiego Radia, ze swej doskonałej muzyki do audycji teatralnych, pieśni itd. Ale ta cenna praca jest tylko marginesem właściwej twórczości Lutosławskiego.

— Właśnie skończyłem cykl 8 „Pieśni dziecięcych” na mezo-sopran z orkiestrą kameralną — mówi nam Lutosławski. — Teksty napisał: Krzymieniecka, Januszewska, Korczakowska i znany murarz — poeta Domerałski.

— A co ma Pan na warsztacie poza tym?

— 4-częściowy „Koncert na orkiestrę”, przeznaczony na duży zespół symfoniczny. — Koncert, więc na jakiś instrument koncertujący, z towarzyszeniem orkiestry?

— Nie. W tym utworze, wirtuozowskim instrumentem koncertującym będzie cała orkiestra. Elementy polskiej muzyki ludowej będą grały w mojej nowej kompozycji dużą rolę. Nie będą jednak zastosowane w sposób tradycyjny i ogólnie używany. Zamiarem moim jest stosowanie melodyki ludowej, z tym jednak, że poszczególne fragmenty utworu nie będą posiadały charakteru tańca, czy pieśni.

— Kiedy koncert będzie gotowy?

— Za kilka miesięcy, a już dziś się boję, jak będzie brzmiał w jedynej warszawskiej sali koncertowej „Roma”, tak wyjątkowo źle akustycznie. Bardzośmy poszkapili sprawę sal koncertowych w Warszawie! Od 6 lat debatuje się nad tym, gdzie ma być wybudowana i jak ma wyglądać sala przyszłej Filharmonii Narodowej? A nie pomyślano, że prócz tego trzeba wybudować kilka normalnych sal koncertowych. — Nigdy jeszcze dotychczas społeczeństwo nie garmęło się u nas tak masowo do muzyki. Jest to wynikiem konsekwentnie prowadzonej polityki kulturalnej naszego rządu. Zjawisko owo musi napawać każdego kompozytora głębokim optymizmem. Ale winno zmusić do szybszego myślenia i działania także i architektów. — Jedna, choćby największa sala Filharmonii Narodowej już dziś nie wystarczy dla Warszawy, a co dopiero mówić o sytuacji za lat kilka.



ANDRZEJ PANUFNIK pisze III Symfonię. — Chyba pisał! — poprawiamy go.

W istocie było bowiem tak, że Panufnik napisał dwie symfonie podczas okupacji, ale — bardzo surowy w sądach o sobie — zniszczył je potem, uważając, że nie są dobre. Dlatego I Symfonia, nazwana „Sinfonia rustica” (na 8 instrumentów dętych i 2 orkiestry smyczkowe), była właściwie trzecią. Za tę „Symfonię wiejską” otrzymał Panufnik I nagrodę na Konkursie Chopinowskim. Druga „Symfonia Pokoju” stała się sławną i zyskała autorowi Nagrodę Państwową. Obecnie komponowana III Symfonia będzie miała prawdopodobnie tytuł „Symfonii lirycznej”.

— Kończąc poza tym „Koncert gotycki” na trąbkę, z towarzyszeniem orkiestry smyczkowej, harfy i kotłów — mówi Panufnik. — Nazwa koncertu wywodzi się z dwóch źródeł. Z mego coraz żywszego zainteresowania starą muzyką polską, zapoczątkowanego przy okazji pisania „Suity staropolskiej”, a prócz tego z zachwyty dla Ołtarza Mariackiego, którego niezwykle piękno pokazała wystawa w Krakowie.

— Tak więc dawna nasza muzyka i Wit Stwosch są inspiratorami Pańskiego „Koncertu gotyckiego”. A kto będzie wydawcą?

— Polskie Wydawnictwo Muzyczne, które jeszcze przedtem wydało moją „Symfonię Pokoju”.

Ile razy myślę o czymś przykrym z dziedziny muzyki, tyle razy nawracam myślą do pracy PWM i rozpogadzam się. Ilość pozycji wydawniczych ze współczesnej i dawnej naszej twórczości muzycznej, przy równoczesnej dbałości o sztych, czcionkę, korektę, papier i o szatę graficzną — to wszystko składa się na zasługi PWM, które zostaną wpisane do historii muzyki polskiej.

Rozmawiał: JERZY WALDORFF
Rysował: MAREK RUDNICKI

„TITOWCY BEZ MASKI”

WYSTAWA W SOFII

Z INICJATYWY Narodowego Komitetu Patriotycznego Frontu Bułgarii otwarto w Sofii w galerii Związku Plastyków wystawę dokumentalną pod nazwą: „Titowcy bez maski”.

Zebrane tu wykresy, zdjęcia, fotokopie oryginalnych dokumentów oraz inne materiały udowadniają długoletnią zdradę titowskiej kliki faszystowskiej, gestapowskie metody reżimu Tito — oraz jego wojenne knowania w służbie anglo-amerykańskiego imperializmu.

Pierwsza część wystawy gromadzi materiały na temat pierwszego etapu zdrady Tito — jeszcze w czasie drugiej wojny światowej.

Okazuje się, że Tito na rozkaz swych anglo-amerykańskich „doradców” (wśród których między innymi znajdował się także syn pod-



Tito — wierny lokaj imperialistów, zaprzysięgły wróg obozu pokój!



Dokumenty, udowadniające 123 prowokacje i naruszenia granicy buł-

garskiej, dokonane przez titowców tylko w ciągu ubiegłego roku.

legacza wojennego Winstona Churchilla — Randolph) ułatwił hitlerowcom i ich kolaboracjonistycznym zbirów wymordowanie 1.700.000 patriotów jugosłowiańskich.

Po wyzwoleniu Jugosławii przez Armię Radziecką, Tito przez pewien czas udawał przyjaciela ZSRR i krajów demokracji ludowych — potajemnie zaś likwidował prawdziwych zwolenników tej przyjaźni, jak: generał Arso Iwanowicz, członek Politbiura KC Komunistycznej Partii Jugosławii, generał sekretarz Chorwackiej Partii Komunistycznej — I. Milutinowicz, wielki poeta macedoński i patriota Kosta Racin, członek Politbiura KC Komunistycznej Partii Jugosławii Iwo Rybar — Lolo i tysiące innych.

Dalszy fragment wystawy, na podstawie bogatych materiałów, udowadnia działalność szpiegowskiej sieci na terenach sąsiednich krajów demokracji ludowej. Na czele szpiegów stali: Trajczko Kostow — w Bułgarii, L. Rajk — na Węgrzech i Dżodze Koczi w Albanii. Dokumenty świadczą o stałym wysyłaniu emisariuszy, szpiegów i dywersantów do kraju Pirińskiego, jedynej wyzwolonej części Macedonii, którą Tito gwałtem chce przyłączyć do Jugosławii. Inne materiały udowadniają organizowanie napadu na mauzoleum G. Dymitrowa oraz sabotaż w fabryce „Geo Miler”, który udało się udarmić dzięki czujności ludu bułgarskiego.

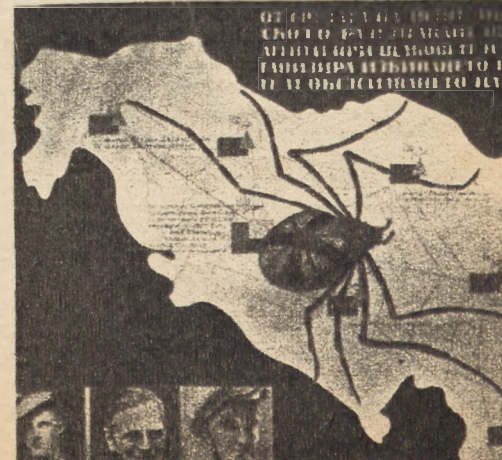
Następny dział wystawy wyjaśnia w jaki sposób, po jawnym przejściu titowców do obozu imperializmu, Jugosławia stała się krajem obozów koncentracyjnych, w których gniebi się 200.000 patriotów. Dalsze działy wystawy obrazują ciągłą faszyzację jugosłowiańskiej kultury, amerykanizację filmu i nieustanną antyradziecką propagandę.

Wystawę zamyka dział dokumentów bohaterstwa walki ludu jugosłowiańskiego przeciw titowskiemu oprawcom, walki prowadzonej przez Komunistyczną Partię Jugosławii — oraz dokumenty czujności bułgarskiej straży granicznej i całego ludu Bułgarii, odpięającego nieustanne prowokacje faszystowskie.

Agenci anglo-amerykańskiej służby wywiadowczej: generał Fitzroy MacGleen, major Randolph Churchill (syn obecnego premiera) i major W. Johuse; od 1943 r. byli oni imperialistycznymi wtyczkami w sztabie Tito.



W czasie, kiedy klika titowska uwalnia faszystowskich zbrodniarzy wojennych — w licznych obozach śmierci ginie 200.000 jugosłowiańskich patriotów i bojowników o pokój.



UCZTA BALTAZARA

P O W I E Ś Ć

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

Znalazł się nagle nad morzem. Brzeg był stromy. Powietrze krystaliczne. Widość doskonała. Zapatrzył się przed siebie. Przed jego oczami igrały mowy. Daleko, po linii widnokręgu, parł naprzód statek. Haza wodził za nim wzrokiem, póki nie zniknął mu z oczu. Zaklął. Usiadł na moment pod drzewem. Wsunął rękę do kieszeni. Wyjął notes i zagłębił się w nim. Ale nic pocieszającego tam nie wyczytał. Przeciwnie, zamknął go z jeszcze chmurniejszym wyrazem twarzy. Dopiero wracając, odzyskał równowagę. Zboczywszy z prostej drogi, natknął się w lesie na schron. Na jego widok znieruchomiał. Lecz tylko na chwilę. Pelen podniecenia, przystąpił do oględzin tego bloku z cementu, osadzonego głęboko w ziemi. Zeszedł po stopniach w dół. Przed solidnymi drzwiami z żelaza, drzwiami, które jeszcze od góry osłaniał betonowy okap, przystanął. Lecz wnet klucz, który przypadkowo zabrał ze sobą z pokoju Andrzeja, już tkwił w zamku. A kiedy przekręcił się w nim bez oporu, serce w Hazie roztajało.

— No, co — zaśmiał się do siebie krótko — mam wdech?

Dłużej śmiać się nie było z czego. Znalazł to, czego szukał, lecz nadawało się to właśnie na wypadek, gdyby sprawy nie ułożyły się tak, jak chciał. Zabezpieczenie przed wstępnymi komplikacjami, to jeszcze nie ratunek. A o ratunek przecież szło. Schował klucz. Na nowo pograżył się w rozważaniach. Granicę lasu i kolonię ruin minął w zadumie. Otrząsnął się z niej dopiero na widok Uriaszewicza, siedzącego za stołem w kuchni, przygarbionego, z głową spuszczoną, ręką zasłaniającą oczy. Wstrzymał oddech i przez moment patrzył w skupieniu. Uriaszewicz zaniepokoił go wczoraj swoim zachowaniem podczas pierwszej rozmowy, a zwłaszcza tonem, jakim opowiadał o pracy, kolegach i porcie. Odczuwał wobec niego skrępowanie. Podsunął się bliżej.

— Śpisz? — szepnął, wsuwając głowę przez okno.

Nagle zobaczył na stole przed Uriaszewiczem blask telegraficzny. To mogło wróżyć komplikacje.

— Z byka spadłeś — Uriaszewicz, usłyszawszy głos Hazy, wyprostował się i rzucił z niezadowoleniem: — Czemu mnie zamykasz?

Twarz Hazy raptownie spurpurowiała.

— Nie chciałem domu zostawić otwartego — wybąkał — chciałem się przejść. Otworzywszy drzwi, położył na stole klucze.

— A to — pokazał na depeszę — dobre nowiny, czy nie?

— Przeczytaj — podał mu Andrzej otrzymaną przed pięciu minutami depeszę z wiadomością o śmierci pani Uriaszewiczowej.

— O — syknął Haza, a w jego oczach pojawiło się przerażenie. To pojedziesz?

— Nie — odparł Uriaszewicz.

— Nie? Na pogrzebe! — Nagle zaniepokoił się. — Dlaczego?

Ledwie z ulgą przyjął to postanowienie do wiadomości, a już przeląkł się, jakie mogły być tego motywy.

— Z pracy cię nie puszczą? — naciskał.

— Przecież właśnie nic nie robię — zniecierpliwiał się Uriaszewicz — zbijam baki w domu.

— No więc?

— Mam swoje powody.

Sięgnął po blankiet telegraficzny i z lekka drżącymi rękami starannie go złożył i wsunął do przegródki w portfelu. Zdecydował nie jechać. Ostry ból przybyłe nieostrości, uprzytomniał mu, że słowa młodego lekarza, jak również Birkuta, to nie były czcze przestrogi i że o swoje ramię musi należycie dbać, jeżeli nie chce przedłużyć sprawy. A nie chciał. Serce, rozum, nerwy i stare porachunki z samym sobą, pchały go na posterunek ze szczególną siłą w tym gorącym dla Olikańy czasie.

— Mam swoje powody — powtórzył. — Babka mogłaby je zrozumieć.

Nie tyle towarzyska ogłada, ile pragnienie, by Uriaszewicza wysondować, podsunęło Hazie grzecznościową formułę:

— Mną sobie głowy nie zaprząta — powiedział. — Tak sobie wszystko układaj, jakbyś nie pamiętał, że tu jestem.

— Dobra — mruknął zdawkowo Uriaszewicz.

Ale zapomnieć nie mógł. Skoro Haza po śniadaniu oświadczył, że wybiera się zwiedzić miasto, zwłaszcza zaś port, Uriaszewicz skierował się do siebie, żeby się położyć. Nie zdążył jeszcze zamknąć oczu, gdy Haza pojawił mu się pod powiekami. Im dłużej leżał, tym nieprzyjemniej mu się robiło. Ciągłe starał się wyobrazić sobie co w danym momencie Haza robi. Jakaś nie bardzo sprecyzowana, ale uprzykrzona myśl nie dawała mu spokoju. Czuł, że lepiej byłoby, gdyby mógł Hazy nie spuszczać z oczu. Spróbował przemóc się, gdyż obiecał Birkutowi nie ruszać się z mieszkania. Nie czynił zaś sobie złudzeń, że jeżeli się nie opanuje i wybiegnie za Haza, będzie łączyć z nim krok w krok do końca jego pobytu w Olikańie. Nie potrafił dojść z sobą do ładu i ustalić, czy to co go niespokoi opiera się na przesłankach obiektywnych, czy tylko na nerwach. Zdawał sobie sprawę, że ma gorączkę, że jest wyprowadzony z równowagi wiadomością, którą otrzymał. Po godzinie, nie mając pewności, czy to mądre i potrzebne, wyszedł z domu.

— Coś jest w tym nagłym jego pojawieniu się — mówił do siebie, spiesząc aleją, którą codziennie wędrował. — Niech ja go już epiej mam na oku.

Pędził tak, że ani się spostrzegł, jak znalazł się w granicach miasta.

— Andrzej! — głęboki bas Birkuta sprawił, że Uriaszewicz stanął, jak wryty.

— Ja właśnie lecę do ciebie.

Miękość w głosie, szczególna serdeczność uścisku, zaskoczyły Uriaszewicza. Ale jeszcze bardziej słowa, które padły z ust Birkuta.

— Rzeczywiście, lepiej, żebyś nie jechał — słusznie zdecydowałeś.

— A ty skąd wiesz?

— Jakto skąd? — teraz Birkut popatrzył ze zdziwieniem na Uriaszewicza,

— Przysłałeś do nas swego kuzyna,

— A gdzie on teraz jest?

— Pojęcia nie mam.

Haza był w porcie. Uriaszewicz, rozstawszy się z Birkutem przed samym kapitanatem, spotkał go koło budki strażniczej, przyglądającego się motorówce.

— A, wylazłeś z betów — powitał Uriaszewicza. — To dobrze.

— Po co ty się pchasz do mego kapitana? Co ci strzeliło do głowy?

— Uprzejmość, a trochę nuda. Bo co tu w tej Olikańie robić?

Oczu nie odrywał od motorówki. Nawet wówczas, gdy odwrócił się w stronę Uriaszewicza, nadal ku niej zezował.

— Przejdźmy się trochę — zaproponował Uriaszewicz.

— Świetnie — ucieszył się Haza. — Rzecz prosta, po porcie.

— To nie bardzo. Przeszkadza się w pracy, a poza tym nasz bosman nie lubi dawać przepustek.

— No, to po molo.

— A, po molo, ile ci się podoba. Tylko, czy to będzie dla ciebie zajmujące.

— Będzie — zapewnił Haza, poczem zagadnął: — Jedną macie motorówkę?

— Niestety.

— I to kiepską?

— Niczego sobie łupinka — zaprzeczył Andrzej. Dla naszych celów wystarczy.

— A można nią wyjechać na pełne morze?

— Nie ma potrzeby. My się nią kręcimy po porcie. Najwyżej po redzie.

— Ale na przykład do takiej Ustki czy Darłowa zasunąłby na niej?

— Dziś z pewnością.

— Czemu właśnie dziś?

Uriaszewicz wskazał ręką na morze: — Popatrz, jaka cisza.

Haza poszedł za jego spojrzeniem. Kiedy oderwał wzrok od niebieskiej, czystej dali, zapytał:

— A długo potrwa taka pogoda?

— Kilka dni pewnie.

— Ustka czy Darłowo, to chyba nie więcej, niż dwadzieścia mil stąd?

— Tak.

— Ciekawym, ile na takim czymś można wyciągnąć na godzinę? Siedem? Dziesięć?

— Ależ skąd — powiedział Uriaszewicz — maksimum pięć.

Haza zamilkł po tej odpowiedzi. Coraz częściej zapadał w milczenie. Ozwiały się jednak natychmiast, gdy któryś z pracowników kapitanatu portu zatrzymywał się, by zamienić kilka słów z Uriaszewiczem. Zaczynał z nimi rozmowę, częstował papierosami. Drażnił Uriaszewicza jeszcze tym, że brał go pod ramię, albo kładł mu na nie poufale rękę. Nie dawał się odciągnąć z molo. Puszczał mimo uszu wszystkie propozycje Uriaszewicza. Odwlekał odejście. Stawiał niewinne pytania. Żadne jednak nie zwróciło uwagi Uriaszewicza. A wszystkie miały w sobie coś niejasnego. Nawet zainteresowanie, jakie okazał, słysząc o ognisku dla dzieci i o nadziejach, że zgromadzi ono wieczorem na Zamkowym Wzgórzu cały port i całe miasteczko, było nieprzyjemne.

Tak minęło kilka godzin. Częściowo w pobliżu portu, częściowo w restauracji, dokąd Uriaszewicz zaprosił Hazę. Ciężyło mu niewypowiedzianie. Nie do-

kładnego nie wiedział o przeszłości Hazy, zdawał sobie jednak sprawę, co to za typ. Do niczego w jego poczynaniach na terenie Olikańy nie mógł się przycepić, a zarazem nie mógł oprzeć się uczuciu, że nie docenia sytuacji i ryzykuje.

— Teraz do domciu, pospać — ziewając powiedział Haza. — Odpowiada ci ta koncepcja?

— Najzupełniej.

— Tylko jeszcze jedno — coś ty właściwie postanowił zrobić z „Ucztą“?

— Przekazać ją Lubiczowi.

— Bezapelacyjnie?

— Bez — krótko stwierdził Uriaszewicz.

— A dlaczego do tej pory nie napisałeś do niego?

— Bo zdecydowałem się całą historię załatwić osobiście, najdalej za miesiąc lub dwa, kiedy będę w Warszawie.

— Zarobisz co na tym?

— Nie nie zarobię — i nie zarobić nie chcę. Ale wytłumacz mi, proszę skąd masz pewność, że jeszcze do niego nie napisałeś?

Mimo wysiłków, Haza mu tego nie umiał wytłumaczyć.

Wrócili do domu. Ściągając obuwie, Haza zaklął, gdyż trzasło mu sznurowadło. Uriaszewicz miał parę zapasowych. Położył je na stole koło łóżka Hazy. Wtedy spostrzegł, że jego skarpetki są zupełnie dziurawe.

— Zbigniew — zastanowił się nad czymś, na co wczoraj nie zwrócił uwagi — ty jesteś bez rzeczy?

— Nie — zawahał się Haza — trochę mam.

— Gdzie masz — skrzywił się pogardliwie Uriaszewicz — kiedy widzę, że nic nie masz.

— W hotelu, tam, gdzie zostawiłem ciężarówkę.

— W którym?

— Nie tu. w Krzeniewie.

— A z Krzeniewa do Olikańy dostałeś się koleją?

— Uhm.

— Co to za kombinacje?!

Uriaszewicz pochylił się nad Haza. Lecz ten natychmiast odwrócił się do ściany.

— Skończ z tym śledztwem — mruknął. — Człowiek napił się, w głowie mu się kręci, a ten go męczy!



Na dole szczełnął zamek w drzwiach wejściowych. Zandowna powróciła z pracy. A niebawem — Zandowna ze szkoły. Na górę dobiegały przytłumione odgłosy obiadowej krzątaniny, a nawet pojedyncze, oderwane słowa rozmowy. Ale nic z tego nie docierało do świadomości Andrzeja. Leżał z otwartymi oczami, wsłuchany w miarowy, chrapliwy oddech Hazy. Rozważał sytuację. Był przekonany, że z Hazą jest coś nie w porządku. Z jakąś satysfakcją wyprosiłby go z domu! Jednak myśl tę odrzucał. Nie rozwiązałoby to sytuacji.

Gdy zapadł mrok, Haza, jak gdyby na to czekał, zerwał się.

— No? — Uriaszewicz uniósł głowę z posłania. — Co się stało?

— Ano, nic. Czas już.

— Na co?

Haza z kurtki wyjął papierosy. Wybrał jednego, osadził w lufce. Zapalił. Odchyliwszy lewy rękaw, w świetle zapałki sprawdził na swoim zegarku godzinę.

— Na co, u licha ciężkiego, czas? Odpowiedz.

— Wiercisz mi dziurę w brzuchu i wiercisz. I... nic jeszcze nie pojmujesz?

— Nie.

Haza wstał z łóżka, usiadł na krześle, przysunawszy je do połówki Andrzeja. Ilekroć zaciągał się, w blasku rozżarzającego się papierosa jawiła się jego ponura twarz i mrugające z niepokojem oczy.

— Nie mogę powrócić do Warszawy — wyrzucił z siebie na koniec i na chwilę wstrzymał oddech. W najwyższym napięciu czekał na reakcję Andrzeja.

— Spaliłem za sobą mosty.

— To taka sprawa! — Głos Andrzeja zadźwięczał nieznany Hazi ostrym tonem.

— Jakto: taka? — Haza nerwowo zakręcił się na krześle. — Co przez to rozumiesz?

— Żeś coś zmajstrował i że musiałeś po prostu z Warszawy kopa dać, jak my się tu wyrażamy na wybrzeżu. Nieprawdaż? Co się będziemy bujać.

— Nic nie musiałem. Ja z własnej woli.

Przelknął ślinę i z nienawiścią dodał:

— Przez Dubieńskiego.

Zdobył się na uśmiech.

— Ale nie bój się. Nie tknąłem go palcem. — Ja porachowałem się z nim jedynie za pomocą pewnego *fair-part*, skierowanego dla władz bezpieczeństwa.

Po tym dowcipie, poweselał.

— Pamiętasz, jak on żartował ze mnie, że jestem jedyny, który mu pozostał, by po jego śmierci rozesłać znajomym *fair-part*? Napisałem więc jedno takie, poświęcone jego osobie i różnym jego dawnym wyczynom i postąpom, nie czekając na jego śmierć! Uprzedzając ją nawet.

Przez krótką chwilę wydało się Uriaszewiczowi, że sytuacja z Hazą w Olikanie, sytuacja na której głównie skupiona była jego uwaga, nie jest tak niepokojąca, jak myślał. W tym, co wyznał Haza, uderzył go najpierw moment osobistych porachunków.

— Jego wyczyn — rzekł z naciskiem — a tyś uciekł.

Ślegnął do lampy stojącej na stole. Haza schwycił go za rękę.

— Nie świeć.

— Jego wyczyny, a tyś uciekł — powtórzył Uriaszewicz. — A dlaczego to?

— Bo... — zająknął się Haza. Ową zemstą na Dubieńskim chciał swoją osobę ostonić jak płaszczem, ale odchyliła się poła i ukazała brudną podszewkę.

W tym położeniu Haza uznał, że przyszła pora na inną grę. Bo ja ci przywiozłem „Ucztę“.

Uriaszewicz poderwał się z połówki i skoczył na równe nogi.

— Na litość, spokojnie — krzyknął Haza. Trudno, stało się!

I nie dopuszczając Uriaszewicza do głosu, wyrzucał z siebie słowa przygotowane na ewentualność podobnej reakcji Uriaszewicza.

— Stało się. Nie utrafiłem ci w humor. Zaraz ci ją przekażę. A ty już możesz ją sobie odwieźć do Warszawy, kiedy zechcesz.

— Ja ci wyraźnie napisałem, że sprawa, którą z tobą omawiałem w Warszawie — upada. Domagam się więc od ciebie, byś odstawił obraz tam, skąd go wzięłeś.

— Niemożliwe! Nie mogę się narażać — warknął Haza. — Tu ją odstawię.

Wstał z krzesła.

— Jest w Krzeniewie. Jadę tam natychmiast. Znajdziesz ją u siebie najdalej za godzinę.

— Nic pilnego.

— A dla mnie — bardzo! Ty mnie podejrzewasz o jakieś złe zamiary w stosunku do „Ucztę“. Nie chcę jej mieć ani jednego dnia dłużej. Tylko, gdzie ci tę puszkę złożyć?

Uriaszewicz zapalił światło, przeciw czemu teraz Haza nie zaprotestował.

— A ot, tu — Uriaszewicz wskazał ręką pokój.

— Nigdy w świecie! — Haza udał trwogę. — Tobie dobrze, jeśli chodzi o nią, ponieważ nie masz nic na sumieniu. Ale pomyśl o mnie. Co powiesz ludziom, gdy cię zapytają, skąd się u ciebie „Uczta“ wzięła? Nie masz jakiej skrytki na ten cel... tu w domu, lub poza domem? Jakiejś kryjówki?

— Nie — odparł Uriaszewicz.

Po chwili jednak przypomniał sobie schron. Słyszac o tym Haza oświadczył, że zanim pojedzie po „Ucztę“ musi się sam przekonać, co ten schron jest wart.

— Na tobie nie można polegać, bo tobie i „Uczta“ i moja osoba jest obojętna — oświadczył z goryczą. — Nawarzysz jeszcze jakiego piwa, a mnie wypadnie je wypić.

Skierowali się na dół. W kuchni mała Zandowna zastąpiła im drogę.

— Co? Już panowie idziecie na ognisko — przestraszyła się. — A mama mówi, że my pójdziemy dopiero za godzinę.

— Nie, nie — Haza odsunął ją na bok — idziemy przewietrzyć się trochę.

Wyjął z kieszeni latarkę, którą dziś zakupił. Mimo jej światła, bez pomocy Hazy Uriaszewicz nie trafiłby na miejsce. Ujrzawszy schron, wyciągnął rękę w jego kierunku i poinformował Hazę:

— U mnie jest klucz do tego schronu.

— Wziąłem go ze sobą — rzekł Haza. — Zeszedł po schodach i otworzył drzwi na oścież. — Jak oglądać, to oglądać! Chodź!

— A skądże ty wiedziałeś, że to klucz od schronu?

— Obojętne! Przystań mnie szyskanować głupstwami. — Haza rzekł to z mniejszą już pewnością siebie. — Jest inna ważna sprawa.

Stał w drzwiach i ostro oświecił twarz Andrzeja.

— Sprawa twego stryja! — zniżył głos. — W twoim mieszkaniu bałem się mówić o tym: ściany mają uszy, a sprawa nie tylko jego osoby dotyczy. Tyś mi oświadczył, że nie interesuje cię, czemu go zatrzymano, a ja sądzę, że dobrze by było, gdybyś się tym zainteresował. Czyś słyszał kiedy o czarnej liście, na którą Waszyngton wpisuje pewne handlowe firmy w Europie?

— Nie.

— Na taką listę dostają się firmy, sprowadzające ze Stanów Zjednoczonych, niby to dla krajów Europy Zachodniej kluczowe towary, których Ameryka nie daje eksportować na Wschód, i — sprzedające je za żelazną kurtynę. Twój stryj, uplasowawszy się na bardzo zręcznym dla podobnej roboty stanowisku, dekonspirował takie firmy. Czasami nawet jedną ręką zamawiał coś, drugą ukręcał łeb transakcji.

Andrzejowi błyskawicznie stanęła w pamięci rozmowa na terenie „Polchemu“, której przypadkowo był świadkiem. A również — wytwórnia w Mostnikach,

w obronie której padł Kuszel, gdzie tak czekano na aparaturę z Ameryki, najsolenniej przyrzeczoną przez Konrada Uriaszewicza. Ten ostatni zażądał nawet, by do tej aparatury dostosowano całą budowę!

— Ścierwo!

— Ty wydałbyś na niego wyrok? — spytał Haza.

— Bez zmruczenia powiek.

— A wiesz ty, kto łatwo może być wmieszany w jego sprawę?

I zajrzawszy Uriaszewiczowi głęboko w oczy, oświadczył:

— Ty sam!

Poczem od razu wyjaśnili, co miał na myśli:

— Pamiętasz list, doręczony przez ciebie owemu zagranicznemu typowi, na którego czekałeś na Wale Miedzeszyńskim? Ten list przeszedł tylko przez moje ręce, napisany zaś był przez twego stryja! Domyślam się, co zawierał.

Latarka, którą oświecał twarz Uriaszewicza, dotykała niemal jego czoła.

— No — naciskał — drogę przed sobą masz jedną... W świat!

— Jeżeli nie łezesz, to trudno — rzekł Andrzej. Mówił z trudem. Sprawa listu wstrząsnęła nim. — Odpokutuję.

— Ech, ty! — krzyknął Haza. — A nie lepsza była twoja pierwsza myśl? Napluć na kraj i poszukać szczęścia za granicą?

— Nie przypominaj — wzdygnął się Andrzej. — Wstyd mi.

Skierował się ku wyjściu. Haza go zatrzymał. I teraz, już bez większych ceremonii, pchnął go na schodki, tak, że Uriaszewicz upadł. Haza usiadł przy nim, mocno przyciskając go do ściany.

— Andrzej, oprzytomniej, — z gniewem nacierał. — Stryj nic nie wie o twoim pośrednictwie, więc na śledztwie nie powie. Ja też nie powiem, póki na mnie łapy nie położą. Ale jak położą, za nic nie ręczę.

— Wypchaj się z tym twoim szantażem — warknął Andrzej. — Powiadam ci i powtarzam, nie!

Haza nie poddawał się:

— Ja nie mam nic do stracenia — walił teraz o sobie całą prawdę. — Na

dyskrekcję twego stryja nie mam co liczyć, tym bardziej, że — jak mi z całą pewnością wiadomo — wpadła cała nasza siatka. Ja ocalałem jedynie przez przypadek. Ostatnio nie nocowałem w domu. Teraz muszę uciekać z kraju tak, jak uciekłem z Warszawy. Skorzystałem tylko tyle, że mogłem nareszcie załatwić porachunki z Dubieńskim. Wyda na pewno moje nie ujawnione grzeszki. A między nimi jeden, który szczególnie dużo krwi napsuł panom komunistom. W czterdziestym piątym rozwaliłem na szosie pewnego peperowskiego pełnomocnika do odbudowy Zamojszczyzny. Wiózł z sobą pieniądze, a pieniądze!

— Brat Birkuta! — Oto trzeci element, którego brak było Uriaszewiczowi podczas niedawnej rozmowy z kapitanem, został uzupełniony!

— Brat Birkuta? — A ja nie mogłem się połapać, gdzie widziałem twarz podobną do twarzy twego kapitana. Tymczasem to tylko rodzinne podobieństwo — rzekł Haza z ledwo dostrzegalnym odprężeniem.

— Nie pchaj się tak na mnie! Odsuń się! — wzdygnął się Uriaszewicz. — Ręka boli.

Ale nie ból, lecz zgroza i wstręt wydarły z jego ust te słowa. Chciałby jak najdalej znaleźć się teraz od Hazy i nigdy go już nie oglądać. Pochwycił go skurcz w gardle, kiedy zdał sobie sprawę, że czeka go noc w jednym pokoju z tym człowiekiem. A prawdopodobnie i dzień następny. Zaciskał zęby. A za jego plecami, wsparte dłonią o ścianę silne ramię Hazy zagradzało mu, jak żelazna sztaba, drogę do wyjścia.

— Spójrz tu — rzekł Haza. Drugą ręką wyjął z kieszeni notes. Kolanami trzymał palącą się wciąż latarkę. Znalazł w notesie stronę, o którą mu chodziło.

— Dziś mniej więcej na kwadrans przed dwunastą w nocy — ciągnął — w odległości dwudziestu mil na północ od Olikań, przejdzie trasą odminowaną dla żeglugi obcy transatlantyk, idący w świat z Gdańska przez Kopenhagę. Powraca nim do kraju mój znajomy, ten, z którym ty się zetknąłeś, a z którym ja się głównie kontaktowałem w robocie dla Konrada Uriaszewicza. Uprosiłem by kapitan statku otrzymał niezbędne polecenia. A sądzę, że dopilnuje wszystkiego sam. Tylko wyruszyć i znaleźć się o właściwej porze na trasie, a człowiek jest uratowany. Już za granicą! Uciekaj ze mną, radzę ci. W twoim własnym interesie, bo jak ja się uratuję z Olikań, wszystko skrupi się na tobie. O ciebie mi chodzi, chociaż przyznaję, że raźniej by mi było z tobą na tej twojej przeklętej łupince, z którą ty sobie dajesz radę doskonale.

Dalszy ciąg nastąpi

CHEMIA I... PLAMY

NIC tak nie plami honoru kobiety jak atrament — powiedział Bałucki. My możemy dodać, że nie tylko kobiety, ale i... suknie. Dlatego też pierwszym naszym odruchem po zauważeniu plamy jest myśl — w jaki sposób ją wywabić. Oddać do pralni, czy samej zabrać się do czyszczenia poplamionej tkaniny? Oczywiście wywabić możemy w domu. To nie jest przecież takie trudne — trzeba tylko wiedzieć jakiego użyć środka chemicznego, bo do każdej plamy, w zależności od jakości materiału i rodzaju plamy, trzeba użyć odpowiedniego wywabiacza.

Dlatego też pomówimy dzisiaj o tym, co każda gospodyni powinna wiedzieć na ten temat. A kiedy wspomnieliśmy już o atramencie, to pomówimy i o sposobach wywabiania plam atramentowych. Plamy z białego obrusa wywabiamy kwasem winnym. Zwilżamy je wodą i posypujemy drobno sproszkowanym kwasem. Plamy atramentowe z kolorowych materiałów znikają pod działaniem roztworu soku lub kwasu cytrynowego z małym dodatkiem soli. Po kilku minutach spłukujemy tkaninę wodą i prasujemy ją przez mokrą szmatkę.

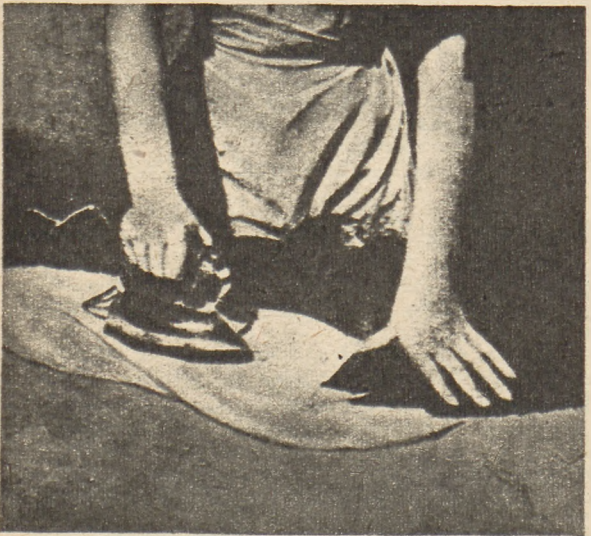


O wiele trudniejsze do wywabiania są plamy z wapna. Tempo budownictwa nie ustaje i w zimie. Murarze opryskują wapnem ściany, a czasem i... nieuczestnych przechodniów. Co wtedy robimy? Wapno zdejmujemy ostrożnie nożem, aby nie wetrzeć go w tkaninę, a splamione miejsce zmywamy wodą z octem. Po wyschnięciu tkaniny, miejsce to należy dobrze wyszczołkować.

Prasując zbyt gorącym żelazkiem często „przypalamy” tkaninę. Taką przyżółconą białiznę spłukujemy z krochmalu, a plamy nacieramy lekko szmatką zmoczoną w roztworze wody i chlorku (1 część chlorku i 9 części wody). Gdy płótno zbleje, spłukujemy je w czystej wodzie. Jeżeli chcemy, aby żelazko nie przywierało do płótna przy prasowaniu, dodajemy do krochmalu, w którym płuczemy białiznę, trochę słodkiego mleka.

Plaszcz gumowane, które nosimy dziś powszechnie jako ochronę jasnego palta, możemy oczyścić rozcieńczonym roztworem amoniaku. Zabrudzone miejsce pocieramy szmatką nie mocząc zbyt mocno płaszcza. Po oczyszczeniu osuszamy go suchą ściereczką i odwieszamy do całkowitego wyschnięcia w chłodnym pomieszczeniu. Płaszcz nie należy czyścić olejem terpentynowym, benzyną i wywabiaczami, gdyż te środki chemiczne niszczą gumowaną warstwę płaszcza.

Kapelusze filcowe czyści się mieszaniną z amoniaku i spirytusu denaturowanego (w równych częściach) — z dodatkiem szczypty soli kuchennej.



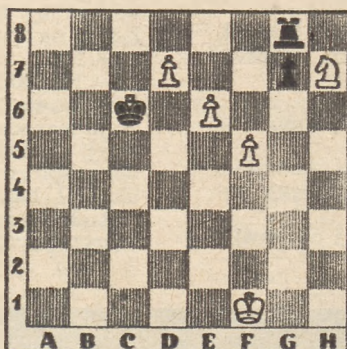
Mieszaniną tą pocieramy splamione miejsca, a przepocony i poplamiony pudrem od wewnątrz brzeg główki, czyszcimy acetonem.

Jeszcze jedna rada praktyczna. Przed przystąpieniem do wywabiania plam sprawdźmy działanie wywabiacza na zbędnym kawałku materiału, gdyż może on odbarwiać materiał. (L. J.)

SZACHY

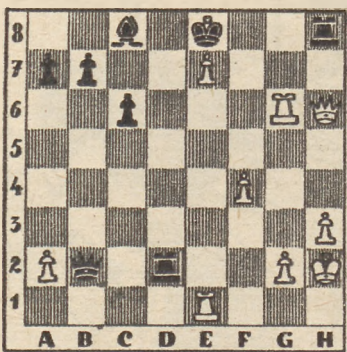
KONKURS A — ZADANIE 23

(Autor — L. Prokasz)



Białe zaczynają i wygrywają. Kontrola diagramu: Białe Kf1; Sh7; pd7, e6, f5. Czarne: Kc6; Wg8; pg7.

KONKURS B — ZADANIE 24



Zamieszczona pozycja pochodzi z partii Maroczy — Romi, granej w San Remo w 1930 r. Białe efektywnie rozstrzygnęły partię na swoją korzyść. Jak?

PARTIA Nr 14

W końcu ubiegłego roku rozegrano w Czechosłowacji mistrzostwo Pragi. W bardzo mocno obsadzonym turnieju zwyciężył znany dobrze w Polsce mistrz międzynarodowy Kottner, uzyskując 7½ punkta (na 11 możliwych) przed młodszym Filipem (7 p.) oraz Pachmanem, Szaftarem, Ujtelym i Zitą (wszyscy po 6½ p.).

Turniej dał dużo ciekawych i bojowych partii, z których jedną zamieszczamy:

Obrona Grünfelda.

Białe: Podgorny Czarne: Filip
1. d2—d4 Sg8—f6 2. Sg1—f3 g7—g6 3. c2—c4 Gf8—g7 4. Sb1—c3 d7—d5 5. e2—e3 0—0 6. Hd1—b3 d5:c4.

Posunięcie to nie jest najświeższą kontynuacją czarnych. Najwięcej szans daje im w tym wariantcie 6... e6 i np. 7. Gd2 b6 8. c:d5 e:d5 9. Ge2 Gb7 10. Wc1 Sbd7 11. 0—0 c6 12. Wf1 We8 z równą grą, jak było w partii Gligoric — Botwinnik (Moskwa, 1947). Jednakże Filip, który jest znakomitym teoretykiem, chciał wypróbować nową debiutową.

7. Gf1:c4 Sf6—d7.
Oto nowość, którą czarne chciały wypróbować. W pozycji tej grano już czarnymi również 7... Sbd7, 7... Sc6 jak i 7... c6, przy czym w dwóch pierwszych przypadkach białe uzyskują znaczną przewagę, a w trzecim pozycja czarnych również nie jest zbyt dobra. Jednakże posunięcie w tekście jest nienaturalne i wskutek niego czarne opóźniają się w rozwoju.

8. h2—h4
Białe rozpoczynają dość ryzykowny atak. Wchodziło w rachubę 8.Sg5.

8... Sd7—b6.
Niedokładność. Grając 8... Sc6 9. h5 Sa5 10. Hb4 S:c4 11. H:c4 Sb6, czarne zyskałyby tempo w porównaniu z kontynuacją w partii.

9. h4—h5 Sb6:c4 10. Hb3:c4 Gc8—g4.
Należało grać 10... c6 z dalszym Ge6 (po natychmiastowym Ge6 białe zagrałyby 11. d5).

11. h5:g6 h7:g6 12. Sf3—e5 Gg4—f5.

Ponieważ po 12... Ge6 13. d5 białe zagrałyby 14. Hh4, czarne chcą spowodować przeciwnika do posunięcia g2—g4. Okazuje się jednak, że w tym przypadku biały hetman ma do dyspozycji inną drogę.

13. g2—g4 Gf5—e6 14. Hc4—f1! Hd8—d6.

Czarne nie mogą przeszkodzić przeciwnikowi w przerzuceniu hetmana na linię „h”. Wydaje się jednak, że skuteczniejszy opór mogły czarne stawiać po 14... Sd7.

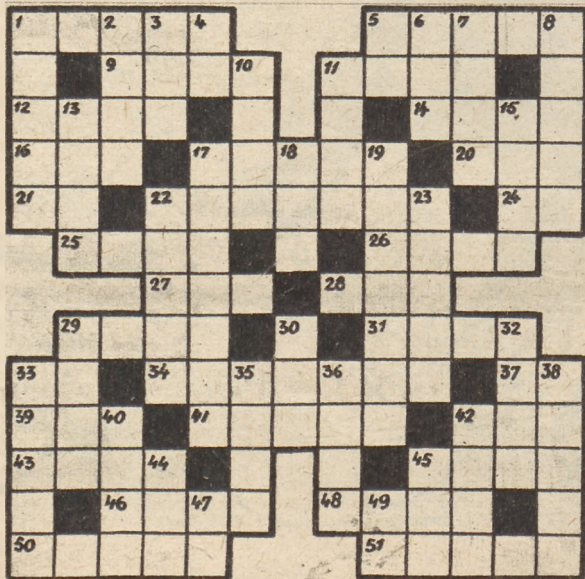
15. Hf1—h3 Wf8—d8 16. Hh3—h7+ Kg8—f8 17. e3—e4!

Czarne poddały się. Na 17... Hd4 białe wygrywa 18. Gh6, a po 17... G:e5 18. d:e5 H:e5 wygrywa 19.Hh8+.

Bardzo żywa i interesująca partia!

ROZRYWKI UMYŚŁOWE

KRZYŻÓWKA



PIONOWO: 1) Część teatru. 2) Pospolity chwast. 3) Ptak z rodziny kurowatyh. 4) Symbol chemiczny srebra. 5) Starożytne miasto w Chaldej. 6) Zbiorowisko drzew. 7) Ptak morski. 8) Sznur do chwytania zwierząt. 10) Mgła unosząca się nad bagnami. 11) Jeden ze składników powietrza. 13) Starodawny instrument muzyczny. 15) Część ciała zwierzęcego. 17) Roślina spotykana najczęściej nad stawami. 18) Pierwiastek chemiczny. 19) Rada, komisja. 22) Słowo dywulgalne. 23) Punkt przeciwległy zenitowi. 29) Starożytny bóg miłości. 30) Legendarne opowiadanie. 32) Człowiek nieobeznany z czynami, niefachowiec. 33) Ssak afrykański podobny do żyrafy. 35) Materiał używany do pokrywania dachu. 36) Drzewo iglaste. 38) Gryzoń amerykański podobny do królika. 40) Kraina w południowej Arabii. 42) Karta geograficzna. 44) Część figury geometrycznej. 45) Bohater polsko-węgierski. 47) Zaimiek osobowy. 49) Przyimek.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Za dobre rozwiązanie przyznanych zostanie 10 NAGROD KSIĄŻKOWYCH.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR. 21

Poziomo: Anapa, potok, afekt, wiza, samolot, Amur, iwa, jar, era, tok, ule, zagon, agawa, liman, Olek, Anabara, rady, Pomona, kos, Anatol, okapi, balet, arena, tam, Ola, jon, eta, wab, otoki, Tatar, Erato, polanka, kat, amator, Arab, Aragon, Mars, lokal, Agata, kanał, Iza, Sur, oda, Nil, Ida, bóle, karawan, elew, Irena, taras, ocena.

Pionowo: awizo, Potop, alibi, niwa, lokator, ozór, Aza, gem, amo, lak, ale, pajok, opoka, basen, asan, anilina, loka, Paron, bat, Ararat, omega, kajak, Agora, tor, Abo, lot, Aga, dar, Olawa, senat, otawa, kotara, ter, ananas, atol, anatema, kino, fakir, arara, malec, emu, mat, Ewa, tan, ile, kula, donator, Aden, Treny, labor, sława.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 21 nagrody książkowe otrzymują:

1) S. Miechowicz — 10, Elmfield Str., Cheetham, Manchester 8 (Anglia). 2) Alicja Baranowska — Poznań, ul. Przybyszewskiego 41. 3) Felcja Goczkowska — Łódź, ul. Fabryczna 5 m. 27. 4) Eugenia Jaszczyszyn — Opole, ul. Reymonta 49 m. 6. 5) Krystyna Jórdańska — Radom, ul. 1 Maja 35. 6) Olgierd Niewodniczański — Wrocław 8, ul. Tetmajera 6. 7) Józef Szmeterling — Olsztyn, ul. Pietkowska 1 m. 44. 8) Jamina Wasilewska — Warszawa, ul. Grotfiera 19 m. 2. 9) G. Wroniewiczowa — Katowice, ul. Teatrna 6 m. 4. 10) Edmund Zuchowski — Legnica, ul. Orzeszkowej 21 m. 3.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

JUŻ WKRÓTCE ODBĘDZIE SIĘ NA ŁAMACH „ŚWIATA” WIELKI KONCERT — KONKURS

zaprojektowany przez dyrektora Filharmonii Warszawskiej, WITOLDA ROWICKIEGO i red. JERZEGO WALDORFFA.

W odpowiedziach na ten konkurs Czytelnicy będą mogli wykazać się z nabytej wiedzy O ORKIESTRZE SYMFONICZNEJ, którą zdobyli w cyklu felietonów.

Doceniając wagę propagandy i popularyzacji muzyki przez prasę, NAGRODY NA KONKURS „ŚWIATA” UFUNDOWALI:

ZWIĄZEK KOMPOZYTORÓW POLSKICH
INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA
WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO MUZYCZNE

POLSKIE WYDAWNICTWA MUZYCZNE
FILHARMONIA WARSZAWSKA
ZJEDN. ZAKŁADY PRZEMYSŁU MUZYCZNEGO

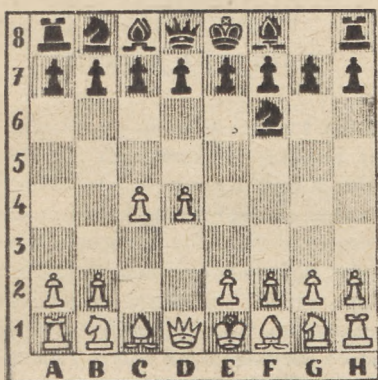
Ponad 130 odpowiedzi na pierwsze posunięcie „ŚWIATA” w naszym meczu szachowym świadczy, że Czytelników-szachistów zainteresowała niecodzienna impreza. Tym bardziej, że odpowiedzi nadesłali nie tylko indywidualni szachiści, ale także całe zespoły, np. sekcja szachowa ZKS „Włókniarz” w Łodzi, czy zespół świetlicowy Państwowego Sanatorium w Olsztynie. Cieszy nas także stosunkowo liczny udział kobiet (ponad 10% odpowiedzi) w naszym meczu.

ROZGRYWAMY DWA WARIANTY

Jak było do przewidzenia, znaczna większość uczestników meczu wybrała dwa posunięcia: d7—d5 lub Sg8—f6. Pierwszy z tych ruchów miał 70 zwolenników, to znaczy 51,9% ogólnej liczby, drugi zaś 52 (38,5%). Zgodnie z zasadami naszego meczu Redakcja winna była przyjąć posunięcie d7—d5, poparte przewagą 18 głosów. Należało jednak wziąć pod uwagę dwa czynniki: pierwszy — że zwolennicy ruchu Sg8—f6 uzasadnili słusznie wybór tego posunięcia ciekawszymi możliwościami dalszego rozwinięcia partii, drugi — że oba te ruchy uzyskały łącznie ponad 90% wszystkich głosów.

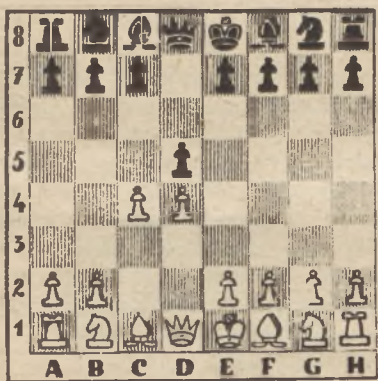
Dlatego Redakcja postanowiła przyjąć oba posunięcia i już w pierwszym ruchu rozbić partię na 2 warianty: wariant pierwszy d7—d5 (w skrócie W1) i wariant drugi Sg8—f6 (w skrócie W2).

PARTIA W1



1. d2—d4 d7—d5
2. c2—c4

PARTIA W2



1. d2—d4 Sg8—f6
2. c2—c4

Jest rzeczą jasną, że każdy uczestnik naszego meczu może brać udział równocześnie w obu partiach, niezależnie od tego, jakim ruchem odpowiedział na pierwsze posunięcie „ŚWIATA”. Również ci szachiści, którzy nie nadesłali odpowiedzi na nasze pierwsze posunięcie, mogą teraz włączyć się do rozgrywanego meczu.

JAK ZAPISYWAĆ RUCHY

Prośba natury technicznej: Czytelnicy nadsyłali swoje posunięcia zapisane w różny sposób. Jedni pisali poprawnie d7—d5, inni 7d—5d, lub 7/D—5/D, albo D5, albo jeszcze „pionek 5/d”. Pewien Czytelnik z Gdańska zaprzagnął widocznie wziąć udział w meczu, ale po stronie Redakcji, gdyż napisał tylko: „Mecz szachowy „ŚWIAT” — Czytelnicy. d2—d4”.

Prosimy więc o używanie poprawnego pełnego zapisu, zwłaszcza, że rozgrywanie dwóch (a w przyszłości i więcej) wariantów zwiększa możliwość pomyłek. Podajemy poniżej przykładowe zapisy drugiego posunięcia Czytelników, biorących udział w obu wariantach.

W1/ 2. c7—c6

W2/ 2. e7—e6

Albo też przy innych posunięciach:

W1/ 2. d5:c4

W2/ 2. d7—d6

Chodzi — rzecz jasna — tylko o technikę zapisywania, gdyż samo posunięcie wybiorą oczywiście Czytelnicy.

Jeszcze jedna sprawa: Czytelników, którzy nadsyłali swoje odpowiedzi w listach prosimy o używanie w tym celu kart pocztowych, gdyż to ułatwia przejrzanie i posegregowanie korespondencji.

ODPOWIADAMY NA PYTANIA

Ob. B. Mickiewicz z Bydgoszczy prosił, by niezależnie od meczu zachować w piśmie „dla celów treningowych” nasz stały kącik szachowy. Spieszmy z zapewnieniem, że kącik szachowy będzie się dalej ukazywał. Z propozycji wprowadzenia rzadkich wariantów 1. f7—f5 (Ob. S. Kosiński) oraz 1. b7—b5 (ob. K. Zieliński) nie mogliśmy skorzystać, gdyż decyduje o tym nie Redakcja, ale większość Czytelników. Natomiast proponowana przez ob. Z. Borowskiego z Grudziądza, obrona Nimzowitscha, będzie prawdopodobnie rozgrywana.

Przypominamy, że Czytelnicy powinni wysłać swe drugie posunięcie najpóźniej 5 lutego br.



Kazimierz Kucharski, doskonały średniodystansowiec. Pracą i uporem zyskał światowy rozgłos.



Stanisław Marusarz, zasłużony mistrz sportu, jeszcze dziś jest czołowym skoczkiem polskim.

POLSKA FLAGA NA OLIMPIJSKICH MASZTACH

NA IGRZYSKACH olimpijskich, poczynając od roku 1924, startowali Polacy i na wszystkich odnosili mniejsze lub większe sukcesy. Przypomnijmy sobie choćby takie sławy olimpijskie jak: Kusociński, Noji, Kucharski, Wajsówna, Kwaśniewska, Czech czy Marusarz. Ich wytrwałą pracę i talent wykorzystywano przed wojną dla głoszenia mitu o wielkości sportu polskiego. A tymczasem głośnie, ale stosunkowo dość rzadkie sukcesy, przesłaniały najistotniejszy brak — brak udziału mas w uprawianiu kultury fizycznej. Fakt ten zaciążył decydująco na kształceniu szerokich kadr wartościowych sportowców. Nie znano wówczas w kraju wielkich imprez, które na starcie gromadziłyby setki tysięcy młodych, zdrowych ludzi z miast i wsi.

I jeżeli mimo braku podstaw do racjonalnego rozwoju kultury fizycznej i sportu, flaga polska powiewała na olimpijskich masztach, decydował o tym talent i olbrzymi wysiłek jednostki.

Dziś młodzi sportowcy stają masowo w zawodach i wielkich imprezach, solidnie przygotowani w LZS-ach lub fabrycznych kołach sportowych, mając zapewnioną opiekę i wszechstronną pomoc.

W Polsce Ludowej realizuje się systematycznie upowszechnianie kultury fizycznej. Dopiero dziś sportowcy polscy mogą, korzystając z bogatych

doświadczeń przodujących w świecie sportowców radzieckich, budować podstawy właściwie pojętej kultury fizycznej.

Praca ta daje pomyślne rezultaty i otwiera przed polskimi sportowcami szerokie perspektywy. Nasze obecne sukcesy mogą wydać się w skali ogólnoswiatowej niewielkie, ale są niewątpliwie zapowiedzią dalszego i trwałego rozwoju sportu.

Już w 1948 roku, w trzy lata po wojnie, młody ludowy sport polski odniósł pierwsze triumfy. Na olimpijskim maszcie w Londynie powiewała polska flaga.

Bokser Antkiewicz zdobywa, po raz pierwszy w historii polskiego pięściarstwa, brązowy medal. Wajsówna w doskonałych warunkach treningowych odzyskuje swą świetną formę, i znajduje się na czwartym miejscu wśród światowych dyskobolek. Łomowski jest również czwarty w kuli, co stawia go na czele miotaczy Europy. Szabliści zajmują piąte miejsce, a Sobik wchodzi do półfinału.

Młody lekkoatleta Adamczyk jest w finale skoku w dal, zajmuje on siódme miejsce w 10-boju wśród najlepszych zawodników świata, w tej najtrudniejszej konkurencji olimpijskiej.

Sportowcy polscy pracują nieustannie. Z szeregów młodzieży, noszącej zaszczytne odznaki SPO, wyrastają przyszli zdobywcy olimpijskich medali.

ST. PIOTROWSKI



Jadwiga Wajsówna triumfowała na trzech Olimpiadach. Dziś zajmuje się wychowywaniem młodzieży

SWIAT o tym wie!

WERSJA BRYTYJSKA



Te dwa zdjęcia umieszczone zostały w formie „zestawki” w ostatnim numerze brytyjskiego miesięcznika „Lilliput”. Są one swoistym komentarzem do wydarzeń w Egipcie. Mają bowiem uwypuklić kontrast pomiędzy „ładnymi krwi” Egipcjankami, zaprawiającymi się do walki partyzanckiej, a „łagodnymi jak baranki” żołnierzami angielskimi, którzy szkoleni są po prostu do niańczenia dzieci. Celowość takiej propagandy opiera się oczywiście na założeniu, że czytelnicy „Lilliputa” mają liliście mózdziki.

CZARNA ŚMIERĆ W ATLANCIE

John R. Hardy (pseud. Tłuszcioch) dorobił się niezłego majątku na dostawach bimbru dla

powiednio spreparowanego alkoholu metylowego.

Hardy nabył więc beczkę spirytusu metylowego (silna trucizna!), rozcieńczył nieco wodą, dodał trochę „kropelek” dla zapachu, domieszał odpowiedni barwnik i puścił całą tę mieszaninę na czarny rynek w murzyńskiej dzielnicy. Nie podejrzewający podstępni klienci chętnie wykupili zabójczy trunk. W parę godzin później szpitale w dzielnicy murzyńskiej zaczęły się zapełniać wijącymi się z bólu ludźmi. Do cięższych wypadków wzywano pogotowie. Kilka dziesiąt osób postradało wzrok. Wiele ofiar pozostało bez pomocy lekarskiej, bo szpitale dla czarnych były przepełnione, a szpitale dla białych nie udzielają pomocy czarnym, nawet w wypadkach groźących śmiercią.

Ogółem zatruciu uległo 350 osób. 37 przypłaciło to śmiercią.

Truciciel wyszedł z całej afery obronną ręką. Policja stwierdziła, że jest słabego zdrowia i wobec tego nie może być aresztowany. Jak widać na zdjęciu, Tłuszcioch-

Hardy istotnie wygląda na człowieka chorowitego. To, że jest biały, a

ofiary jego były Murzynami, to chyba nie ma wpływu na sprawę...

STYL AMERYKAŃSKI

Ci dwaj policjanci nowojorscy z wyciągniętymi rewolwerami nie es-

pieczeń, w którym perły te są ubezpieczone, dowiedziało się, że Gloria wybiera się z całym tym jubilejskim sklepikiem na bal, zażądało natychmiast ochrony policyj-



Keystone

Hollywood, udaje się na bal. Ale nie o Glorię Swanson tu chodzi, tylko o jej suknię. Jest ona naszyta perłami wartymi stu tysięcy dolarów. Gdy towarzystwo ubez-

nej. „Sicher ist sicher” — jak mówi Mannlicher — i dwaj cerberzy nie odstępowali aktorki przez cały wieczór. Tak się bawią w New Yorku. Stylem amerykańskim...



MARIA MAJEROWA PISARKA PATOSU SPOŁECZNEGO

WIELKA twórczość Marii Majerowej — narodowej pisarki czechosłowackiej, która w dniu 2-gim lutego b.r. ukończyła 70 lat życia — wyrosła z tego samego nurtu, któremu w Czechosłowacji początek dała jedna z największych pisarek tego narodu: Bożena Niemcowa. Nurt ten, to poświęcenie całego życia i wszystkich dzieł walce o wyzwolenie człowieka, walce o sprawiedliwość społeczną i zwycięstwo socjalizmu na całym świecie.

Maria Majerowa nigdy nie zniżyła się do biernej, bezideowej postawy. Kladno — zagłębie górniczo-hutnicze, w którym znakomita pisarka spędziła większą część swego życia — nie tylko na zawsze wycisnęło piętno na jej twórczości, ale ukształtowało też światopogląd pisarki.

Oto, co sama mówi na ten temat: „Przemysłowe środowisko i bezpośredni kontakt z klasą robotniczą, atmosfera nieustannej walki o byt, walki o zaspokojenie najprymitywniejszych potrzeb, jak: zaspokojenie głodu, odzianie się i ogrzanie, walka o egzystencję w okresie, kiedy w hutach i na kopalniach pracowało się dwa, trzy dni w tygodniu — oto podłoże kształtowania światopoglądu. Kladno ustawiło młodą istotę w miejscu, z którego nigdy już żadne zmiany życiowe nie potrafiły jej wyrwać.”

Twórczość Marii Majerowej — rozpoczęta w pierwszych latach dwudziestego wieku — jest niezmiernie bogata. Pisarka uprawia prawie wszystkie gatunki literackie: od publicystyki, reportażu począwszy, poprzez nowelę, bajkę — na powieści i tłumaczeniach (głównie z francuskiego) kończąc.

Pierwszą książką Marii Majerowej była powieść z życia biedoty czechskiej pod tytułem: „Dziewiectwo”. Nosi ona wszystkie cechy naturalizmu, który autorce udaje się przezwyciężyć już w następnej powieści: „Na placu Republiki” (1914). Następne książki, to: „Przemijająca miłość”, „Córki ziemi”, „Dzień po rewolucji”, „Najpiękniejszy świat”, „Męczennice”, „Zapora” i wreszcie największe dzieło, powieść epicka pod tytułem: „Syrena” (1936).

W powieści tej (tłumaczonej także na język polski) autorce udaje się połączyć wysoki artyzm z głębokim odczuciem spraw społecznych. Książka ta, ukazująca społeczny i gospodarczy rozwój Kladna, jest nie tylko wybitnym dziełem literatury czechskiej, ale jest też cennym wkładem w postępową kulturę światową.

Klement Gottwald, prezydent Czechosłowackiej Republiki Demokratycznej powiedział przed pięć laty — także w dniu urodzin wielkiej pisarki:

„Syreny kladneńskie dzisiaj nie nawołują już starego rewolucyjnego Kladna do harówki dla bogaczy, ale do twórczej pracy dla ludu, dla nowej Republiki. I ten drugi tom „Syreny” może napisać tylko Maria Majerowa.”

(Ost.)



mieszkańców murzyńskiej dzielnicy miasta Atlanta (stan Georgia). Prawdziwa whisky jest zbyt kosztowna dla czarnych nędzarzy, więc chętnie korzystali z usług dostawcy taniego samogonu. Ale pewnego dnia „Tłuszcioch” wziął ołówek do ręki, przeprowadził krótką kalkulację i doszedł do wniosku, że cała rzecz się nie opłaca. O wiele bowiem zyskowniejsze byłoby sprzedawanie klientom od-

Rewia **SWIAT**a



(Rys. Charlie)

W WIEZIENIU ZACHODNIO-NIEMIECKIM.

Hitlerowski generał: — Dlaczego mnie nie zwalniają, czy ja jestem gorszy od innych?!...
Strażnik: — Pańskie plany nowej agresji nie zostały jeszcze uznane za zadowalające...



(Rys. Walerian Borowczyk)

WAMPIR



(Rys. Ibis)

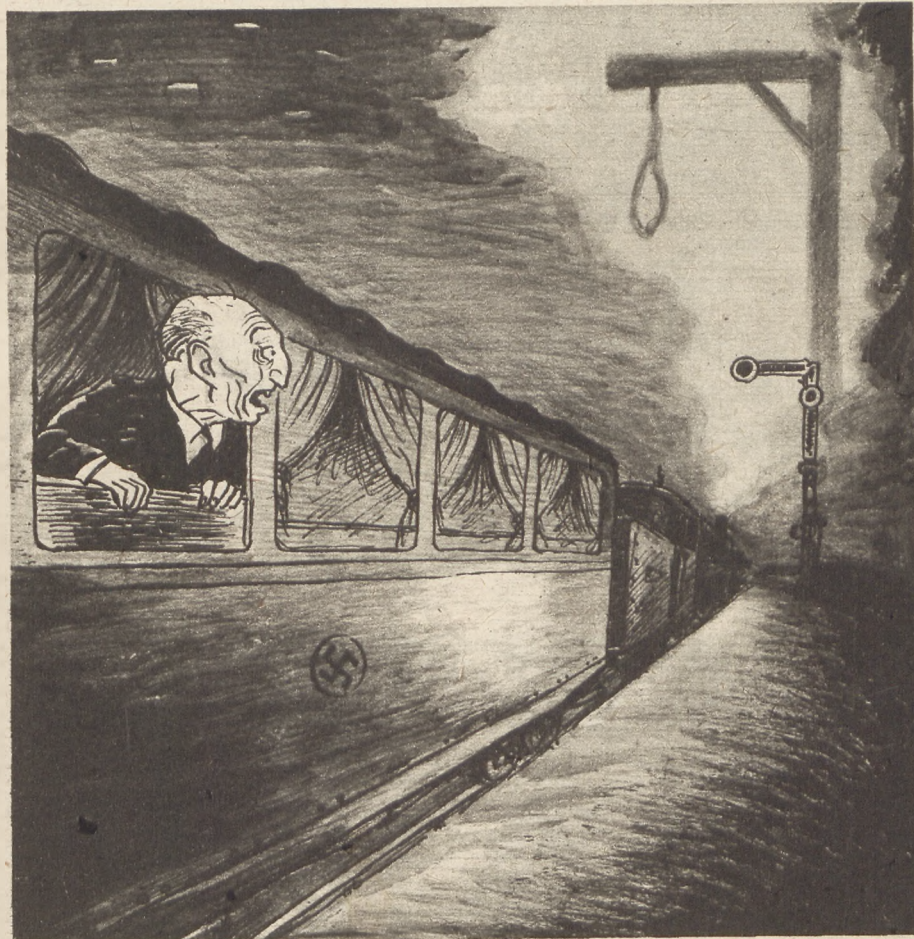
ŻEBRANIE ATLANTYCKIE



Rys. Szymon Kobylński

Po nalocie piratów powietrznych USA na obóz jeńców amerykańskich.
— Straciłeś rękę, Billy?...
— Tak. Ale nie pamięć!!!

Amerykane oddali do dyspozycji Adolfa 6 luksusowych salonek, które wchodziły w skład pociągów specjalnych Hitlera.



(Rys. Jantar)

PODROZ W NIEZNANE



(Rys. Ibis)

BAŁWAN ATLANTYCKI

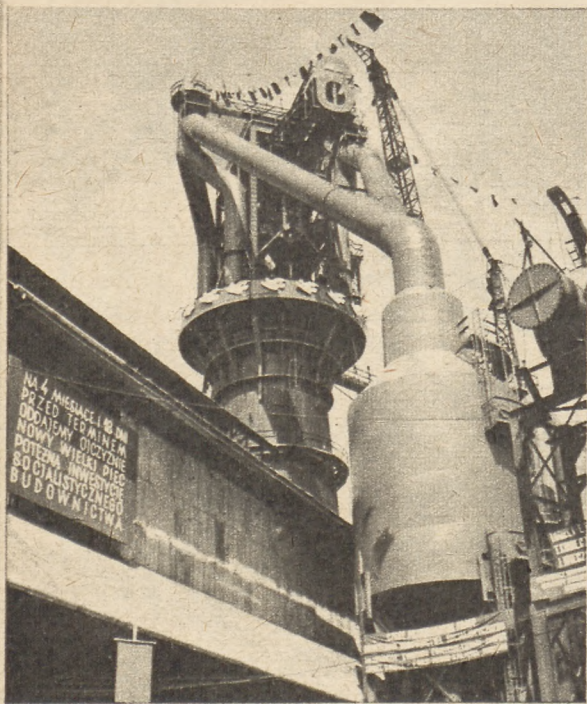
SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala: 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr I-21040/110.

Zakłady Włósnodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Okopowa 58. 8-B-11547

CZY ZNASZ TWOJĄ KONSTYTUCJĘ?



1

Niewątpliwie znasz już, Czytelniku, projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przeczytałeś go uważnie w prasie i zastanawiasz się nad udziałem w ogólnonarodowej dyskusji na temat tego podstawowego aktu, określającego zasady ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz Twoje prawa i obowiązki obywatelskie.

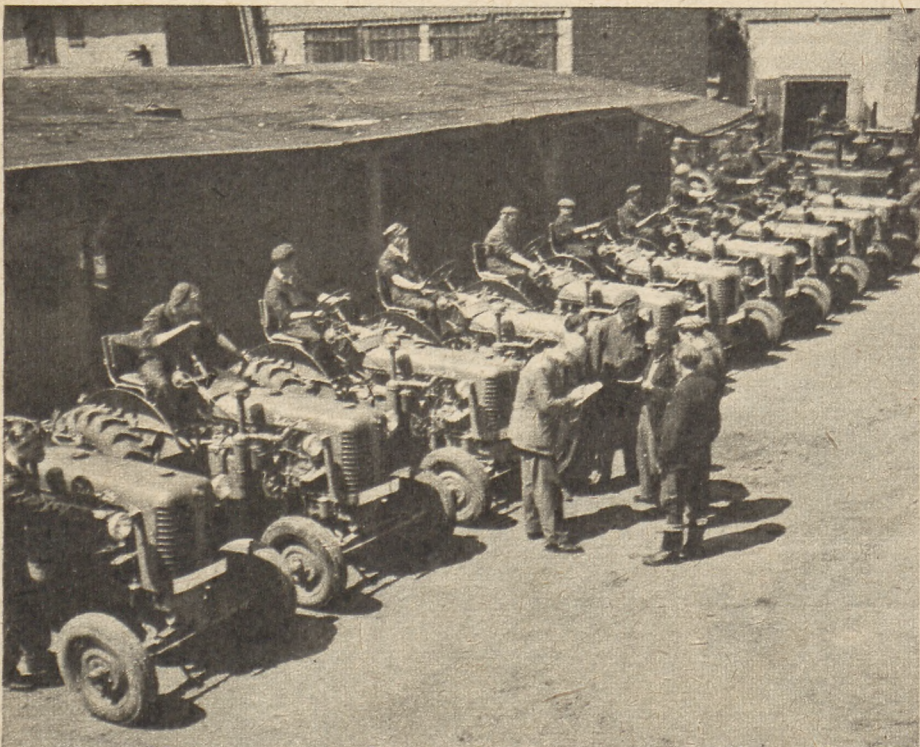
Konkurs nasz jest sprawdzianem znajomości projektu Konstytucji. Każde z zamieszczonych zdjęć ilustruje jeden z artykułów projektu Konstytucji. W rozwiązaniu należy PODAĆ DOŚŁÓWNE BRZMIENIE ARTYKUŁU, któremu odpowiada poszczególne zdjęcie. Odpowiedź winna również zawierać imię, nazwisko, zawód i adres odpowiadającego.

W numerze niniejszym podajemy PIERWSZĄ CZĘŚĆ KONKURSU obejmującą 6 zdjęć. Dokończenie konkursu ukaże się w numerze następnym. Odpowiedzi, obejmujące CAŁOŚĆ konkursu, należy nadsyłać do redakcji „ŚWIATA”, Warszawa, Nowy Świat 58, w terminie do dn. 25 lutego b.r., zaznaczając na kopercie „Konkurs”.

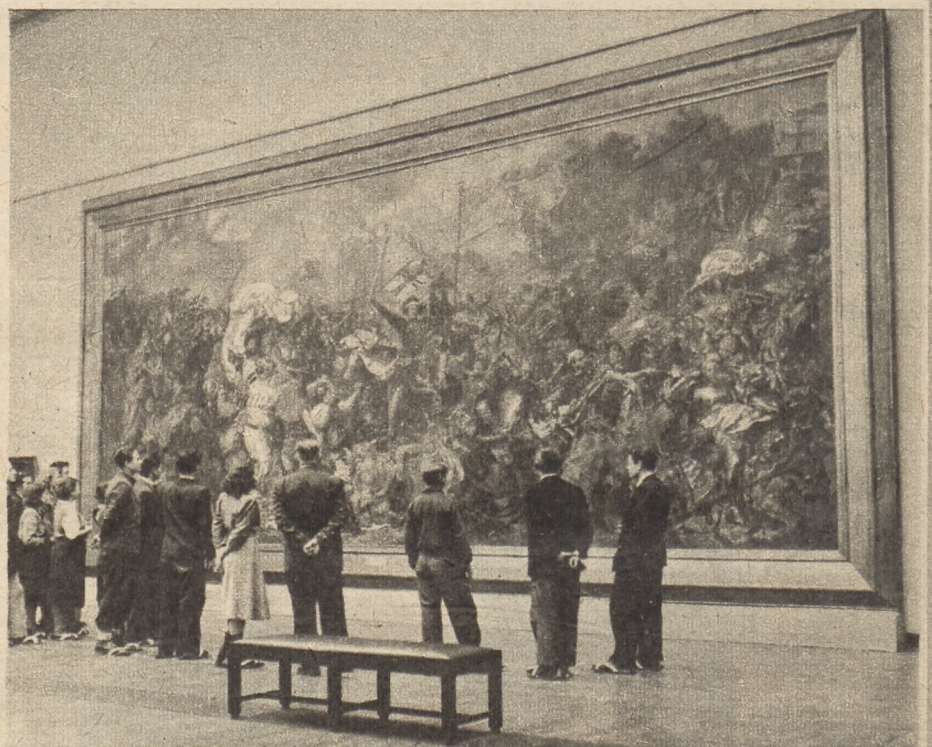
Pomiędzy uczestnikami konkursu, który nadeślą w terminie prawidłowe rozwiązania, rozlosowane będą cenne nagrody. Wykaz nagród w następnym numerze.



2



3



4



5



6